Dziś w numerze: ● Zaproszenie do Teatru Wielkiego ● Głównej ma nie być ● Organizacja 40 tys. entuzjastów ● O pomnik i muzeum Reymonta ● Wiosna na końcu świata ● Stateczny oprawca ● Recenzje ● Felietony

odgłosu

Nr 3 (417)
22. I. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

10843-A

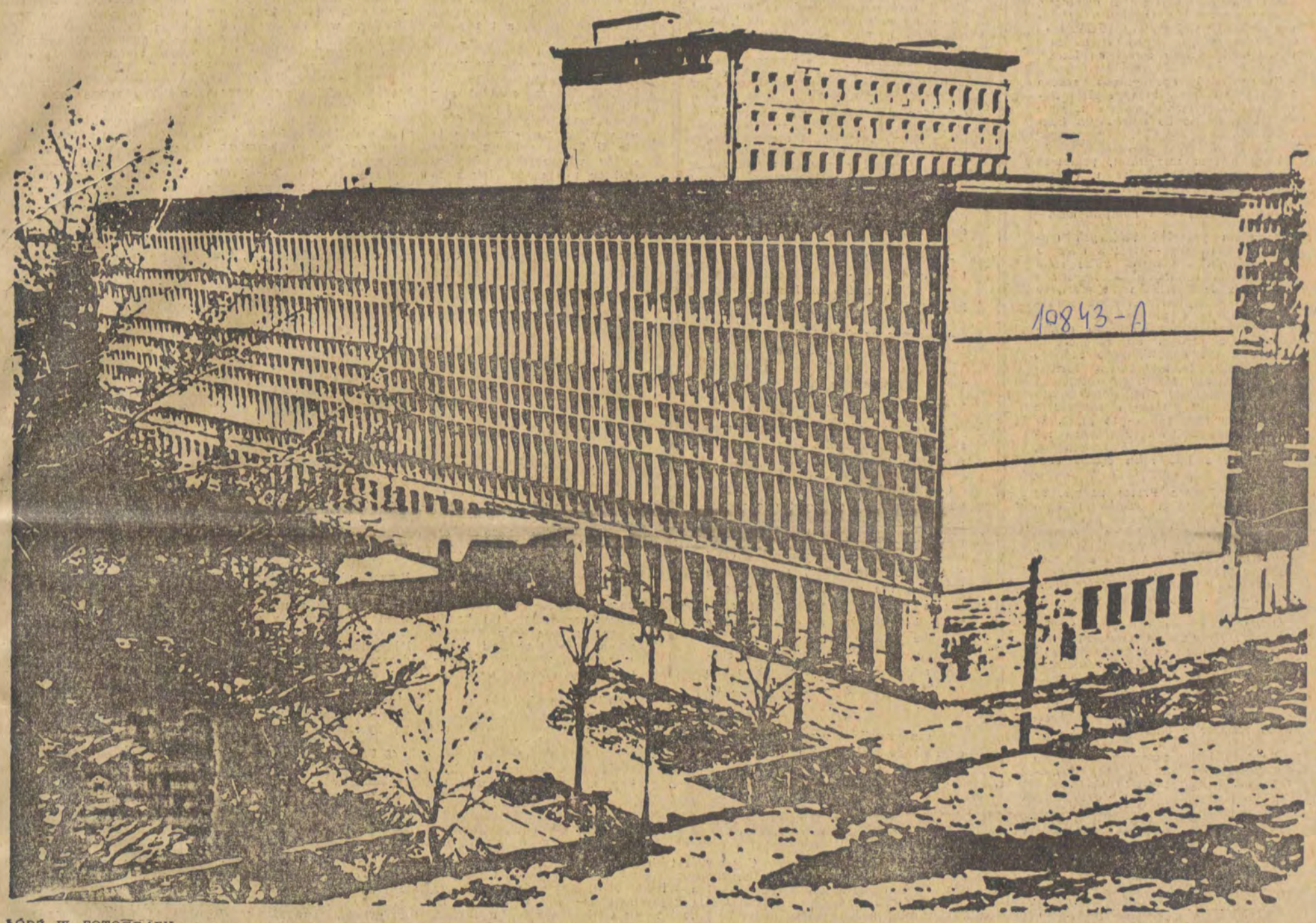

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII

Fot. J. Baranowski

CZESŁAW KARBOWSKI

I Sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR Łódź-Bałuty

BAŁUTY

Wczoraj ● Dziś ● Jutro

**...„Bałuckie limfatyczne dzieci,
Z wyostrzonymi twarzyczkami
(Jakbyś z bibułki sinoszarej
Wyciął ich rysy nożyczkami)
Upiorki znad cuchnącej Łódki
Z zapadłą piersią starym wzrokiem
Siadają w kucki nad rynsztokiem
Puszczają papierowe łódki..."**

(Julian Tuwim. „Kwiaty Polskie").

Bałuty... Dzielnica ogromnych zdobyczy i jaskrawych, lecz zanikających już kontrastów, gdzie jeszcze tu i ówdzie Nowe zderza się z reliktami starego. Współczesne bloki mieszkalne i przedwojenne drewniaki i czynszowe rudery... Gaz, centralne ogrzewanie i łazienki w mieszkaniach, a obok woda czerpana z ulicznych studni. Asfaltowe jezdnie i kocie łby... Spośród pięciu, największa i najludniejsza dzielnica Łodzi: 6 422 hektary powierzchni i blisko 190 tysięcy mieszkańców! Dzielnica burzliwych przemian ekonomicznych, bytowych i kulturowych. Łódzkie zagłębie budowlane.

W okresie międzywojennym — obok Chojen — najbiedniejsze i najbardziej zaniedbane peryferie Łodzi. Zapomniany, zabity deskami margines wielkiego miasta, synonim nędzy, cuchnących slumsów, degeneracji, chorób, nierządu, występku, często bandytyzmu.

Komuż w Łodzi, ba, w całej ówczesnej Polsce międzywojennej nie obiła się o uszy zła sława Bałut? „Bałuciarz", „dziecko Bałut", „bandzior z Bałut"... i wiele innych — to pejoratywne epitety na określenie ludzi podejrzanej profesji, które, jak zły szeląg, obiegały Łódź i inne miasta w kraju.

Tak było, i zresztą w ówczesnych warunkach społecznych Polski kapitalistycznej inaczej być nie mogło. Bo i kogo obchodził podówczas łódzki proletariat? Młode pokolenie łodzian pod trzydziestkę, nie mówiąc o młodzieży, nie wie i nawet sobie nie wyobraża jakie te Bałuty ongiś były.

Tu mi się na myśl nasuwa, iż w szkołach zbyt mało się mówi o ciężkim losie klasy robotniczej w międzywojennej Łodzi, że nasza młodzież nie zna historii swego rodzinnego miasta, bądź co bądź kolebki polskiego proletariatu. Ale to już dygresja. Powróćmy do Bałut.

W czasie okupacji, hitlerowski najeźdźca wymordował znaczną część mieszkańców dzielnicy, a niemal pięćdziesiąt procent domów obrócił w perzynę.

Mam pod ręką mnóstwo materiałów z lat międzywojennych, tyczących Bałut i warunków, w jakich musiała żyć ludność tej proletariackiej dzielnicy. Mając na uwadze wymowę faktów, jedną z tych prac zacytuję nieomal w całości. Jest to źródłowe, dokumentalne opracowanie warunków bytowych mieszkańców ówczesnych Bałut, pióra J. Gercza, pt.: „Społeczne przyczyny powodzeń i niepowodzeń szkolnych", zamieszczone w Wydawnictwie Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego, pod redakcją H. Radlińskiej.[1]) I jeszcze jedno — praca Gercza datuje się z roku 1937, lecz sięga on również do lat 1932—33. Zapewniam czytelników z całą odpowiedzialnością, iż od roku 1932—33, poprzez rok 1937, aż do 1939, nic się na Bałutach na lepsze nie zmieniło. Ówcześni mieszkańcy tej dzielnicy nędzy, świetnie te czasy pamiętają.

1.

„Środowisko fizyczne tej dzielnicy jest niezmiernie ubogie. Krajobraz okolicy płaski, nie nęci z dala oka. Na krańcu południowym płynie Łódka, na peryferiach północnych znajdują się na wpół zasypane glinianki, podobnie jak Łódka, wypełniona brudną i cuchnącą wodą. Są to jedyne wody, z którymi dziecko Bałut od najwcześniejszych swych lat się styka, nad którymi się bawi (...) Poza maleńkim skwerkiem na południowym krańcu położonym, tu i ówdzie przy chodniku znajdują się schorzałe drzewka. Dopiero poza północną granicą Bałut jest potężny, niedostępny dla dzieci, prywatny ogród Julianów, gdzie można wejść tylko za opłatą"...

W roku 1949 rozebrano mury otaczające park Julianowski i udostępniono go mieszkańcom dzielnicy i miasta. Przez okrągły rok korzysta z niego mnóstwo bałuckich dzieci. Zasypano glinianki, uregulowano rzeczkę Łódkę na całej jej długości. Oddano do użytku dwa nowe parki o łącznej powierzchni ok. 50 hektarów. Wybudowano i oddano do użytku młodzieży piękny stadion Startu z nowoczesną, krytą pływalnią. Uruchomiono ośrodek wypoczynkowy w Arturówku.

2.

„W centrum Bałut horyzont stanowią czerwone i szare, brudne kamienice, obwieszone często szmatami i brudną pościelą.

Ubóstwo ludności, skupiającej się w III komisariacie sprawia, że Bałuty przy 103 000 mieszkańców sprawiają wrażenie ghetta zarówno chrześcijańskiego, jak i żydowskiego. Z szynkami nie konkuruje ani jedno porządne kino, ani park publiczny, ani jakiekolwiek urządzenie kulturalne, które posiadają miasta o znacznie mniejszej liczbie ludności..."

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Algierska agencja podała, że pod koniec bieżącego miesiąca należy oczekiwać w Algierii wizyty Leonida Breżniewa. Wiadomość ta spowodowała na łamach prasy zachodniej różnorodne komentarze. Przede wszystkim zwrócono jednak uwagę na sam kraj, w którym w ostatnim okresie obserwować można ciekawe zjawiska.

W Algierii 5 lutego mają się odbyć wybory powszechne do rad gminnych. To wydarzenie pobudziło życie polityczne. Ożywiły się i nabrały znaczenia organizacje społeczne i związkowe, którym — w pierwszym okresie po obaleniu Ben Belli — Rada Rewolucyjna odmawiała należnego miejsca w tym życiu. Na tej podstawie, jak również kilku ostatnio wypowiedzi algierskich działaczy, żeby wspomnieć chociażby o działaczu centrali związkowej (UGTA) — Zerdanim, obserwatorzy stwierdzają w Algierii „dalszy zwrot na lewo".

Z doniesień agencyjnych można także wnioskować, że w Radzie Rewolucyjnej, głównie na tle właśnie wyborów, doszło do poważnych kontrowersji.

Piszę o tym wszystkim, ponieważ jest prawdopodobne, iż w miarę zbliżania się daty wyborów sytuacja polityczna będzie się rozwijać, a co nie wykluczone — i komplikować.

Zacząłem przegląd bieżących wydarzeń od wizyty — trzeba więc w tym miejscu powiedzieć kilka słów o paryskim spotkaniu Kiesingera i Brandta z de Gaulle'em. Te pierwsze rozmowy przedstawicieli nowego rządu bońskiego z prezydentem Francji ze zrozumiałych względów obserwowano z uwagą. Po zakończeniu spotkania nie opublikowano żadnego komunikatu, trudno zatem zorientować się, czy niemieccy rozmówcy zaprezentowali de Gaulle'owi jakieś możliwości polepszenia stosunków z Francją, a jeśli tak — to jakie. W każdym razie Kiesinger wyraził zadowolenie z rozmów i przekonanie, że traktat z 1963 roku będzie ożywiony.

Agencja France Presse podaje, że głównym tematem spotkania było jednak współdziałanie obu krajów w orientowaniu polityki na Wschód. De Gaulle chciał zorientować się, czy Bonn przyłączy się do jego modelu odprężenia. Z całą pewnością omawiano również możliwość przystąpienia W. Brytanii do EWG.

Jakie są szanse pod tym względem W. Brytanii — zamierza przekonać się Wilson w podróży do sześciu krajów Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, która w niedzielę wieczorem zapoczątkował wyjazdem do Rzymu. Należy przypuszczać, że i ta podróż będzie okazją do politycznych rozmów o bieżącej sytuacji.

Po tych kilku uwagach przejdźmy do problemu wietnamskiego, od którego nie sposób przecież uciec.

Tradycyjnie w pierwszych dniach nowego roku prezydent Stanów Zjednoczonych wygłasza orędzie o stanie państwa. Jest to zawsze pewne określenie zamiarów administracji na najbliższy okres. Z tego też powodu oczekiwano, co Johnson powie o wojnie wietnamskiej.

Tę część orędzia, wygłoszonego 10 bm, dałoby się streścić następująco: „presja wojskowa z naszej strony musi być i będzie kontynuowana", „stoimy w obliczu większych kosztów, większych strat i większych cierpień, albowiem końca konfliktu jeszcze nie ma". Johnson oświadczył, że „nie może obiecać, iż wojna skończy się w tym lub przyszłym roku".

A więc jednoznacznie i bez niedomówień Johnson opowiedział się za prowadzeniem barbarzyńskiej wojny. Nic przeto dziwnego, że gazety amerykańskie komentują orędzie m. in. pod kątem potrzeby „ograniczenia wydatków wewnętrznych i zmobilizowanie środków na potrzeby wojny". Wyrażają przy tym duże rozczarowanie z takiego właśnie postawienia sprawy, dodając, że intelektualnie orędzie było słabe, o banalnej retoryce i najmniej frapujące z wszystkich dotychczasowych. Posługując się określeniami „New York Timesa", czy też „Christian Science Monitor" można powiedzieć, że w polityce amerykańskiej dominują „jastrzębie", a więc siły, które „pod wodzą Ruska wierzą, że przyszłe bezpieczeństwo USA... wymaga nadania priorytetu sukcesowi wojskowemu".

Trudno dopatrywać się przypadku w fakcie, że w tym samym czasie, kiedy Johnson w swym orędziu stawiał na dalszą wojnę — U Thant na konferencji prasowej w formie najostrzejszej z dotychczasowych wypowiedział się na temat amerykańskiej interwencji w Wietnamie. Ugodził on mocno w politykę USA, kiedy powiedział:

— dopóki USA nie przerwą nalotów na DRW — nie zostanie osiągnięty żaden postęp w kierunku pokoju;

— jedynie nawiązanie bezpośrednich kontaktów między USA a Frontem Wyzwolenia Narodowego południowego Wietnamu pozwoli rozwiązać kryzys;

— Wietnam płd. nie stanowi niezbędnego czynnika dla bezpieczeństwa interesów Zachodu.

Ostatnie doniesienia z Waszyngtonu wskazują, że administracja podejmuje obecnie szeroki kontratak przeciwko U Thantowi. Miałby on udowodnić, że sekretarz generalny ONZ jest w błędzie, kiedy twierdzi, że Wietnam nie ma większego znaczenia z punktu amerykańskiej strategii bezpieczeństwa, a przerwanie nalotów może utorować drogę do rozmów. W tej kontrofensywie chodzi także o wykazanie, że mimo stawki na wojnę — USA dążą... do pokoju.

Czy naprawdę Waszyngtonowi wydaje się, że ktokolwiek w to uwierzy?

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

◑ **W dzienniku północnowietnamskim Nhan Dan ukazał się artykuł podpisany przez „Obserwatora", za którym to podpisem — jak podkreślają agencje zachodnie — kryje się zazwyczaj wysoki funkcjonariusz władzy państwowej, na temat ewentualnych negocjacji pokojowych. Z artykułu wynika, iż DRW jest za takimi rozmowami pokojowymi, które uwzględniłyby co najmniej trzy następujące punkty: przerwanie nalotów bombowych na Wietnam Północny, wycofanie wojsk amerykańskich z Południa oraz uznanie Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego za jedną ze stron w rokowaniach.**

◐ W Rumunii zwiększono z dniem 1 stycznia br. wymiar podatku płaconego przez osoby pracujące, a nie posiadające dzieci.

◐ Przewodniczący Sił Zbrojnych w Izbie Reprezentantów, Mendel Rivers, zażądał aby Stany Zjednoczone przestały finansować działalność ONZ ze względu na stanowisko jakie U Thant zajmuje wobec wojny wietnamskiej. Stwierdził on m. in., że „tak zwany sekretarz generalny tak zwanego ONZ, będącej w rzeczywistości współczesną wieżą Babel, wykorzystał cały wpływ jaki ma urząd sekretarza generalnego i ONZ przeciwko naszym nalotom bombowym na Wietnam Północny... Powinniśmy przerwać finansowanie tej bandy, która każdego dnia podważa naszą pozycję w Azji Południowo-Wschodniej". Komentarze zbyteczne.

◑ **W przemówieniu wygłoszonym na wiecu studentów i pracowników przemysłu naftowego premier Czou En-laj stwierdził, iż otrzymał polecenie przewodniczącego Mao, aby oświadczyć, iż nikt nie ma prawa domagać się wydania w jego ręce Liu Szao tsi i Teng Siao-pinga. Są oni bowiem nadal członkami centralnych władz partyjnych, a błędy które popełnili i linia przez nich reprezentowana — stanowią wciąż jeszcze sprzeczności wewnątrz społeczeństwa i tak należy je traktować. W wypadku jednak, gdy politycy ci będą upierali się przy swoich błędach, wtedy sprzeczności pomiędzy nimi a narodem mogłyby przerodzić się w sprzeczności pomiędzy narodem, a wrogiem. Tak, jak to stało się z grupą b. burmistrza Pekinu Peng Czena.**

◐ W Londynie ukaże się niebawem nowa gazeta, która specjalizować się będzie w publikowaniu wiadomości z biblijnego świata. Na jej łamach pojawią się tytuły artykułów, w rodzaju „Potworne zniszczenia po światowym potopie", „Sodoma i Gomora w gruzach", „Powrót Mojżesza z góry Synaj" itp. Zespół redakcyjny wyraża pogląd, że starożytne epizody biblijne opisane współczesnym, dziennikarskim językiem ery wieku kosmicznego, sprzyjać będą głębszemu poznaniu świętej księgi. Gazeta będzie nazywała się „Kronika Jeruzalem i wiadomości z dalekiej przeszłości".

◐ Analizując budżet rodziny w Czechosłowacji „Rude Pravo" pisze, iż niezadowolenie niektórych rodzin wynika częstokroć z nadmiernych wymagań. Szereg z nich ma wszystko — dobrą odzież, zelektryfikowane gospodarstwo domowe, samochód, telewizor, domek weekendowy i pieniądze na wycieczki zagraniczne, a mimo to nieprzerwanie skarży się na swą stopę życiową.

◑ **Paryski „Monde" publikuje list jednego ze swych czytelników — sinologa, który wyjaśnia, że wyrażenie chińskie przetłumaczone początkowo jako „rewolucja kulturalna" powinno być w zasadzie tłumaczone jako „rewolucja w cywilizacji", tym bardziej, że wydarzenia zachodzące w Chinach objęły sferę daleko szerszą niż obejmuje pojęcie kultura.**

◐ Mieszkańcy miasta Nazarowo (Krasnojarski Kraj) na zebraniu w jednym z okręgów wyborczych postanowili odwołać swego deputowanego do Rady Miejskiej pod zarzutem, iż deputowany ów zawiódł zaufanie wyborców.

◐ W Togo po bezkrwawym zamachu armia przejęła władzę. Wojsko togijskie liczy łącznie z żandarmerią 1500 ludzi.

◑ **„Izwiestia": Znany amerykański pisarz John Steinbeck dobrowolnie oddał swoje pióro i swą reputację na usługi amerykańskiej, brudnej wojny w Wietnamie. W swoich „Listach do Alicji", Steinbeck szybko zdystansował wielu swych kolegów, jeśli chodzi o powtarzanie wszystkiego co podsuwają i pokazują generał Westmoreland i jego rzecznicy prasowi w Khaki. Jego nienawiść do partyzantów jest tak samo niepohamowana jak jego zachwycanie się amerykańskim żołnierzem, którego podniósł do wyżyn szlachetnego supermana. Polityczna filozofia Steinbecka jest na poziomie filozofii najemnych antykomunistów z bulwarowych gazet koncernu Harsta.**

◑ **Z doniesień prasy amerykańskiej wynika, że w administracji waszyngtońskiej w chwili obecnej przewagę zdobyły „jastrzębie" domagające się kontynuowania wojny w Wietnamie do ostatecznego zwycięstwa.**

◐ Władze algierskie uwolniły ponad 90 więźniów politycznych. Akt ten komentowany jest jako dalsza próba doprowadzenia do porozumienia między Bumedienem a lewicą algierską.

◑ **W 1966 roku w Czechosłowacji nastąpił dalszy spadek przyrostu naturalnego. Wzrosła liczba wypadków przerywania ciąży na prośbę kobiet. Dziennik „Rude Pravo" sądzi, iż jednym z ważniejszych czynników powodujących ten stan rzeczy jest sytuacja mieszkaniowa, szczególnie krytyczna u młodych rodzin.**

◐ Jak wynika z oficjalnych danych w Belgradzie jest 2.365 milicjantów, co oznacza, że jeden milicjant przypada na 422 mieszkańców i na 10 ha terytorium miasta, 162 milicjantów ma wykształcenie wyższe lub średnie. Przeciętna płaca milicjanta kształtuje się znacznie poniżej ogół nokrajowej przeciętnej.

— Pięknie, pięknie — ale czemu on chodzi krok w krok za nami? (Die Welt)

DR ZYGMUNT LATOSZEWSKI

Dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego

ZAPROSZENIE do Teatru Wielkiego

Łódź otrzymała wreszcie okazały, nowoczesny gmach teatralny. Na taki pomnik kultury miasto zasługiwało od dawna, gromadząc chlubne tradycje teatralne, znaczone nazwiskami takich artystów sceny polskiej, jak Zelwerowicz, Adwentowicz, Schiller czy Dejmek. Chociaż łódzkie sceny, na których podziwiano znakomite zespoły i sławnych aktorów, były nader skromne, i w tych ciasnych warunkach przestrzennych triumfowała stara prawda, że aktor jest głównym twórcą teatru.

Do zasług łódzkich teatrów należy życzliwe, koleżeńskie poparcie, jakiego udzieliły debiutującemu przed 12 laty młodemu zespołowi operowemu. Korzystał z ich gościny i rozwinął swoje możliwości artystyczne, zasilany przez wokalistów przygotowanych w Wyższej Szkole Muzycznej, a także przez młode kadry instrumentalistów tworzących dziś orkiestrę symfoniczną Opery. Bez tego poligonu doświadczalnego na scenach łódzkich nie byłoby kim gospodarzyć w nowo otwartym Teatrze Wielkim.

Widowisko operowe czy baletowe wymaga przestrzennie i akustycznie odpowiednich warunków umożliwiających inscenizację szerokiego wachlarza repertuaru światowego, który tylko w małym stopniu obejmuje dzieła kameralne, a przeważnie operuje masami chóru i baletu obok niekiedy licznej obsady solistów, a zarazem posługuje się aparatem wielkiej orkiestry symfonicznej, której wyodrębnienie jest przecież uwarunkowane odpowiednią przestrzenią widowni. Takie możliwości, oparte na nowoczesnej technice ruchomej sceny, stworzyli nam łódzcy budowniczowie Teatru Wielkiego. Artyści naszej Opery są tego świadomi, czując zarazem brzemię odpowiedzialności za efekty ich pracy artystycznej, na nowej, pięknej scenie.

Teatr Wielki inauguruje swoją działalność „Halką". „Strasznym Dworem" Moniuszki, „Kniaziem Igorem" Borodina i „Carmen" Bizeta. Wkrótce wystąpi z samodzielną premierą także zespół baletowy, wystawiając znany i popularny balet Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski".

Czy wybór tych pozycji określa w pełni kierunek polityki repertuarowej Teatru Wielkiego? Ujmując te zamierzenia najogólniej, możemy je określić jako łączenie tradycji z nowoczesnością, zarówno w wyborze dzieł, jak i w stylu wykonawczym.

Dla każdego teatru stałą niewiadomą była i pozostanie publiczność, żadne przewidywania nie mają tu szans gwarancji. W repertuarze operowym istnieje oczywiście wiele dzieł, cieszących się wszędzie niezmienną popularnością i one też tworzą z małymi odchyleniami bazę programową teatrów, przy czym w poszczególnych krajach dominują oczywiście dzieła narodowe, niemniej, dostateczna jest liczba tych, które jako tzw. repertuar żelazny zadomowiły się na wszystkich scenach. Budując teraz od podstaw repertuar Teatru Wielkiego oprzemy się w Łodzi również na tych znanych i powszechnie lubianych pozycjach, a nowe możliwości inscenizacyjne naszej sceny pozwolą je ukazać w nowej, nowoczesnej interpretacji, a ponadto niemała jest jeszcze liczba oper z repertuaru tradycyjnego, dotąd u nas nie wystawianych. Należą przecież do nich zarówno „Kniaź Igor", jak i tak powszechnie lubiana „Carmen". Jeszcze w bieżącym roku uzupełnimy ten popularny cykl przypomnieniem „Rigoletta" Verdiego i „Kumoszek z Windsoru" Nicolaia, a po nich przyjdzie kolej na opery Puccciniego, na „Aidę" Verdiego, na opery Czajkowskiego i Mussorgskiego, a niewątpliwie i na wczesne dramaty muzyczne Wagnera.

Będzie to systematyczna kontynuacja linii repertuaru, z jaką startujemy w dniach otwarcia Teatru Wielkiego, ale jak już powiedzieliśmy, nie będzie to jedyny kierunek naszego programu. Pragniemy służyć raczej rodzimej twórczości muzyczno-scenicznej i od niej, od arcydzieł Moniuszki rozpoczynamy pierwszy sezon, lecz jeszcze w tym roku zmierzymy nasze siły na dwóch współczesnych polskich operach: Romualda Twardowskiego „Tragedyi o Janie i Herodzie" i na pierwszej wersji operowej popularnej „Panienki z okienka" kompozycji Tadeusza Paciorkiewicza. Po klasyce — nowoczesność, po pewności — ryzyko, a może nie ryzyko tylko interesujące odkrycie? Bardzo życzymy naszym utalentowanym kompozytorom powodzenia i sukcesu, bo dla ciągle jeszcze szczupłej ilościowo polskiej twórczości operowej przybył nowy, znakomity warsztat teatralny, który oby zachęcił naszych kompozytorów do tworzenia dzieł sceniczno-muzycznych.

Nie tylko z polskimi dziełami zamierzamy udać się na teren współczesnej opery. Jest ich pokaźna liczba, a wśród nich niektóre wywalczyły sobie rozgłos światowy by wymienić choćby „Mądrą" i „Księżyc" Orfa lub „Peter Grimmes" Brittena, grane zresztą już w Polsce. Nasze zainteresowania repertuarowe nie będą też omijać muzy lżejszej czy to w formie opery komicznej, jak już wspomniane „Kumoszki z Windsoru", czy operetki klasycznej np. Straussa „Zemsta Nietoperza", która także niebawem u nas zagości, jak i twórczości najnowszej z gatunku musicalu. Włożyliśmy wiele wysiłku w przygotowanie premier inauguracyjnych, ucząc się w mozolnych próbach artystycznie gospodarzyć obszerną i nowoczesną sceną Teatru Wielkiego. Wysiłki te będą jeszcze rosnąć z każdą następną premierą, bo chcemy być prawdziwie nowoczesnym teatrem, dającym pełną satysfakcję nie tylko słuchaczowi, ale i widzowi, którego wyostrzona wrażliwość stawia dziś teatrowi wielkie wymagania. Chodzi o zdobycie jego zaufania, a zarazem może i o zwalczanie niektórych uprzedzeń do głoszonych gdzieniegdzie opinii o rzekomym anachronizmie sztuki operowej. Opera jest zjawiskiem powszednim w Italii, Niemczech czy Związku Radzieckim, ale socjologowie stwierdzają także i to, że człowiek, wychowany na kulturze masowej, konsument filmu, telewizji i płyty gramofonowej garnie się żywiołowo właśnie do teatru operowego czy to w Ameryce, czy w Australii. Jest w tym chęć konfrontacji znanych doznań estetycznych ze źródeł mechanicznego przekazu artystycznego z żywym odbiorem tej sztuki w teatrze, jest w tym pewność przekonania, że tak jak film nie zastąpi teatru, tak najlepsze nagranie opery nie jest pełnym przeżyciem doznań emocjonalnych żywego przedstawienia.

Myślę, że w naszych warunkach możemy liczyć na podobną prawidłowość tego ciekawego procesu socjologicznego, dlatego bardzo serdecznie zapraszam nie tylko melomanów, lecz wszystkich Obywateli naszego miasta do Teatru Wielkiego. Osądźcie proszę, czy się Wam podoba cośmy z wiarą w piękno sztuki operowej przygotowali na Wasze przyjęcie.

BAŁUTY

Wczoraj ● Dziś ● Jutro

Dalszy ciąg ze str. 1

Dziś Bałuty liczą 189 tys. mieszkańców, czynnych jest 141 zakładów pracy i instytucji. Roczna wartość produkcji bałuckich fabryk sięga ok. siedmiu miliardów złotych. W przedsiębiorstwach, urzędach i instytucjach pracuje 52.778 osób, w tym 37.805 robotników. 45 procent ogółu pracujących stanowią kobiety. Bałuty są również potężnym zagłębiem budowlanym: powstają tutaj osiedla, liczące już obecnie 49.119 izb mieszkalnych, co stanowi 47 procent całości budownictwa mieszkaniowego w Łodzi.

3.

„Przy kościele parafialnym znajduje się biblioteka dla dorosłych, wypożyczająca przeważnie książki powieściowe o treści religijnej, posiada jednak niewielki księgozbiór, z którego bardzo mało ludzi korzysta. Nędzy kulturalnej nie jest w stanie zaspokoić jedyna placówka Miejskiej Biblioteki Publicznej dla dzieci i młodzieży o 6 000 tomach i 1 000 wypożyczających. Obsługuje ona głównie dzieci szkół powszechnych, poza tym garstkę młodzieży, która już ukończyła szkołę powszechną i z braku biblioteki dla starszych korzysta z książek dla dzieci. Pomieszczenie czytelni jest nader skromne: na 30 miejsc wypada przeciętnie 39 czytelników, zaś w miesiącach wzmożonej frekwencji aż 180 czytelników, na skutek czego sadowi się dwóch czytelników na jednym krześle, reszta, która nie znajduje miejsca, czeka swojej kolei"...

A w roku 1966 mamy na Bałutach 16 bibliotek i 19 punktów bibliotecznych, nie licząc bibliotek szkolnych i zakładowych. Łączny księgozbiór — najwartościowsze dzieła kultury i sztuki — sięga ponad 100 tysięcy tomów, w tym ponad 70 tysięcy tomów książek dla dorosłych i ponad 30 tysięcy tomów dla młodzieży. Korzysta z nich ok. 20 tysięcy mieszkańców naszej dzielnicy.

Zbudowano szereg estetycznych, wolnostojących pawilonów bibliotecznych w których zaprojektowano osobne pomieszczenia na czytelnie i wypożyczalnie książek. Odbywają się tutaj również prelekcje i odczyty oraz spotkania z pisarzami.

4.

„Wszystkie — niemal bez wyjątku — grupy zawodowe na Bałutach obejmują najmniej zamożnych. Bałuty są — oczywista — przede wszystkim siedzibą najuboższego proletariatu. Jednak inne grupy ludności, poziomem dobrobytu swego nie odbiegają zbyt daleko...

Warunki ekonomiczne ludności bałuckiej przedstawiają bardzo smutny obraz. Bałuty posiadają kilka różnych zakładów przemysłowych: na południowym krańcu znajduje się duża fabryka włókiennicza, która w latach dobrej koniunktury zatrudnia kilka tysięcy robotników tkackich. Wskutek racjonalizacji i stale postępującej mechanizacji w przemyśle włókienniczym coraz mniejszy odsetek ludności jest zatrudniany w wielkim zakładzie. W dobie kryzysu drobniejsze zakłady albo są uruchamiane sezonowo albo ruch całkowicie wstrzymały. W roku 1932/33 procent bezrobotnych na Bałutach przekraczał 40 proc. Nędza dokucza nie tylko robotnikom fabrycznym: warsztaty chałupników i rzemieślników powoli zamierają. Reszta ludności Bałut, związana z sytuacją gospodarczą robotnika, np. drobni handlarze również odczuwają poważnie kryzys. Nędza bałucka, sławna i w czasach normalnych, w dobie kryzysu przechodzi w stan rozpaczliwy co u ludności wywołuje ogólną apatię. W żadnej części Łodzi nie widać takiej depresji psychicznej, jak u ludności Bałut, zarówno u dorosłych, jak i u dzieci. Czuć tu beznadziejność walki z nędzą..."

W ostatnich latach kosztem około dwóch miliardów złotych, zbudowano i uruchomiono 12 nowych, wielkich zakładów pracy, że wymienię: „Elta", „WUKO", ZM Włókien Sztucznych, Fabryka Maszyn i Urządzeń Przemysłu Spożywczego, PKS, 5 przedsiębiorstw budowlanych, 2 spółdzielnie pracy. Znalazło w nich zatrudnienie ponad 15 tysięcy osób. Zbudowano również cała dzielnicę magazynową przy ul. Brukowej.

Kosztem wieluset milionów złotych rozbudowuje się i modernizuje pozostałe przedsiębiorstwa. Zlokalizowano, w całkowicie nowych pomieszczeniach, dwie placówki naukowo-badawcze: Instytut Medycyny Pracy i Instytut Przemysłu Skórzanego. Powstał też zespół gmachów Wojskowej Akademii Medycznej.

Bałuty produkują na eksport jedną czwartą część masy towarowej, produkowanej przez zakłady całej Łodzi!

5.

„W Łodzi przypada średnio na jedno mieszkanie 3,83 mieszkańca, zaś w III komisariacie 4,13, tylko II komisariat ma gęściejsze średnie zaludnienie, wynoszące 4,95 mieszkańca na jedno mieszkanie. Jeszcze bardziej rzeczową ilustrację otrzymamy, rozpatrując liczby mieszkańców, przypadających na jedną izbę. Na Bałutach tylko 2 proc. mieszkańców ma znośne warunki mieszkaniowe, tj. poniżej 3 mieszkańców na izbę, zaś reszta, to jest około 98 proc. skazana jest na ciasnotę mieszkaniową.

U prawie połowy (49,4) czworo ludzi przypada na jedną izbę. Są to przeważnie małżeństwa z dwojgiem dzieci. Jedna izba jest dla nich nie tylko jadalnią, sypialnią, kuchnią, lecz w bardzo wielu wypadkach (u chałupników lub rzemieślników) — i pracownią"...

W dwudziestoleciu powstały na Bałutach całe nowe osiedla mieszkaniowe: Bałuty I, II, III, IV i V, Osiedle XV-lecia i Osiedle im. Władysława Bytomskiej. W budowie znajduje się osiedle „Wielkopolska", a już w niedalekiej przyszłości wyrośnie na Bałutach jeszcze jedno osiedle: Teofilów A, B i C. W sumie mieszkańcom tej dzielnicy, oddano do użytkowania 40 tysięcy nowych izb mieszkalnych, co stanowi 50 proc. całości łódzkiego budownictwa mieszkaniowego. Dziś, ponad 50 procent ludności Bałut mieszka w nowych domach, zajmuje mieszkania z wygodami.

Dzięki znacznym środkom, przeznaczonym na remonty kapitalne, dużej poprawie uległy również warunki mieszkaniowe lokatorów, zajmujących mieszkania w starym budownictwie. W szerokim zakresie przeprowadzono modernizację starego budownictwa, zwłaszcza instalacji wodociągowo-kanalizacyjnych i gazowych. Dziś na Bałutach zagęszczenie na jedną izbę wynosi 1,69 mieszkańca.

Ułożono na Bałutach 73 i pół kilometra sieci kanalizacyjnej, ponad 83 kilometry wodociągowej, 51 kilometrów bałuckich ulic otrzymało nowoczesną nawierzchnię. Wybudowano trzy nowe odcinki torów tramwajowych oraz uruchomiono pięć nowych linii autobusowych.

6.

„Skutki nędzy bywają okrutne: chłopców rodzina uczy kraść i żebrać, dziewczęta przygotowuje się na nierządnice. Dane statystyczne dotyczące nierządu w Łodzi wykazują, że między dziewczętami poniżej 14 lat, oddającymi się nierządowi największy procent pochodzi z Bałut...

Wygląd zewnętrzny dziecka Bałut, jego nastrój psychiczny jest tak smutny, jak smutna jest jego dzielnica, w której żyje (...) Dziecko bałuckie musi staczać bezustanne walki o każdy kąt w ciasnym mieszkaniu, na podwórku i przy postojach tramwajowych, gdzie sprzedaje gazety(...)

Istnieje 14 publicznych szkół powszechnych, które w roku 1932/33 liczyły 183 oddziały i 8.517 uczniów.

W obrębie III komisariatu, miasto wybudowało dotychczas jeden gmach szkolny w roku 1925/26, oddany szkole żeńskiej nr 30. Jest to najpiękniejszy z gmachów szkół powszechnych w Łodzi, zaopatrzony w liczne wzorowe urządzenia. Poza tym przystosowano wynajęty budynek do potrzeb i wymagań szkoły żeńskiej nr 161. Równocześnie magistrat przystąpił do budowy dwóch gmachów szkolnych na pograniczu południowym III komisariatu w dwu sąsiednich okręgach, ażeby uzupełnić braki w sieci szkolnej na południowym, gęsto zaludnionym odcinku Bałut(...)

Na tle nędznych domów, cuchnących ścieków, zgiełku, bezwzględnej i niemal beznadziejnej walki codziennej o kawałek chleba, na tle życia bez jutra, w którym marzeniem jest dostać się w zimie na ciepłe łóżko szpitalne, kształtują się siły fizyczne oraz oblicze psychiczne dziecka Bałut. Statystyka wskazuje, że warunki życia, częściej niż w innych dzielnicach Łodzi, wywołują skrzywienie rozwoju, i że wyższy jest tu odsetek dzieci niedorozwiniętych, znacznie liczniejsza drugoroczność, duża przestępczość dzieci...

Z nędzą wiąże się sprawa braku opieki. Właśnie rodzice, znajdujący się w ciężkich warunkach materialnych, na skutek beznadziejności walki o poprawę bytu, obojętnieją wobec potrzeb swoich dzieci, traktują je jako ciężar nie do udźwignięcia"...

Nieomal nazajutrz po zakończeniu wojny, władza ludowa przystąpiła do energicznej walki z ogromnym zacofaniem dzielnicy. W poważnym stopniu odrobiono już międzywojenne zaniedbania w dziedzinie oświaty. W roku 1939 było wprawdzie na Bałutach 25 szkół, wszakże tylko 3 spośród nich oddano do użytku w okresie między dwiema wojnami. Pozostałe, w ilości 22, gnieździły się w czynszowych kamienicach lub innych budynkach, nieprzystosowanych do tego celu.

Na przestrzeni dwudziestolecia Polski Ludowej wybudowano na Bałutach i oddano do użytku 32 nowe szkoły, w tym 23 podstawowe, 4 licea ogólnokształcące i 5 szkół zawodowych. W najbliższych latach powstanie na Bałutach dalszych 10 szkół, w tej liczbie jedna specjalna dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Dalej, uruchomiono 34 przedszkola — przed wojną było ich zaledwie kilka — z czego 17 zajmuje pomieszczenia, specjalnie do tego celu zaprojektowane i wybudowane.

Zupełnie nową formą opieki nad dzieckiem, nieznaną przed wojną, a którą stworzono z myślą o pracujących matkach, są żłobki. Na Bałutach jest ich 13, w tej liczbie 7 w nowych specjalnie przystosowanych budynkach. W najbliższych dwóch latach wybuduje się na Bałutach dalszych 6 przedszkoli i 2 żłobki.

Są to osiągnięcia ogromne, bez precedensu w Polsce międzywojennej. Najlepiej wiedzą o tym ci, którzy na Bałutach niegdyś mieszkali, czy jeszcze mieszkają. Pragnąłbym, żeby opowiedzieli swoim dzieciom, lub może już wnukom, jak to się w naszej dzielnicy przed wojną żyło...

* * *

Tyle z pracy Gercza. Nie porusza on problemu opieki lekarskiej na Bałutach. Dlaczego? Czyżby nie przywiązywał doń żadnej wagi? Może nie chciał tej sprawy poruszyć, a może ja przeoczył. Nie. Po prostu dlatego, że bezpłatna pomoc lekarska była nieosiągalna dla klasy robotniczej.

Tuż po wojnie uruchomiono na Bałutach jedną uspołecznioną przychodnię lekarską. Na przestrzeni lat 1945—66 wybudowano i uruchomiono **dalszych pięć przychodni rejonowych, stację krwiodawstwa i dwa nowe szpitale. Dwa dalsze są już zaawansowane w budowie.**

Skromniutkie przed wojną sanatorium w Łagiewnikach dysponowało zaledwie 60 łóżkami. **Dziś ma 500 miejsc**, a w budowie znajdują się trzy dalsze pawilony, po kilkaset łóżek każdy. Szeroko rozbudowano poradnie i przychodnie specjalistyczne, uruchomiono — nieznane przed wojną — lecznictwo przyzakładowe. Objęto nadzorem lekarskim wszystkie szkoły, przedszkola i żłobki. **W lecznictwie otwartym i zakładowym pracuje 260 lekarzy i 474 pielęgniarki.** Liczba godzin pracy lekarzy medycyny wszystkich specjalności wynosi rocznie ponad 370 tysięcy, a lekarzy stomatologów — ponad 76 tysięcy godzin.

W skromnych ramach artykułu nie sposób nakreślić całokształtu zdobyczy socjalnych Bałut, które przyniosła z sobą władza ludowa w Polsce.

Trzeba podkreślić godną szacunku ofiarność społeczeństwa dzielnicy, przejawiającą się w niezliczonych czynach społecznych, których wartość w roku 1965 wyraziła się sumą blisko ośmiu milionów złotych, a w roku 1966 sumą już dziesięciu milionów złotych!

Na terenie dzielnicy przebiega szeroki front pracy organizatorskiej i społeczno-politycznej, którą rozwijają komitety dzielnicowe FJN, komitety blokowe, sklepowe i szkolne, komitety opieki społecznej, blokowe drużyny ORMO, komitety i samorządy dziecięce, terenowe kluby sportowe, zespoły artystyczne, organizacje ZMS i wiele innych. Można więc śmiało powiedzieć, iż na Bałutach powstał cały złożony i bogaty system pracy społecznej.

A dalsze perspektywy rozwojowe Bałut?

Oto w latach 1966—1970 zbuduje się i rozbuduje, łącznie 25 zakładów przemysłowych. Ogólna suma nakładów pieniężnych przeznaczonych na ten cel wynosi ok. dwóch miliardów 365 milionów 500 tysięcy złotych. Najwyższe nakłady obejmują Elektrociepłownię III, Zakłady Obuwia Gumowego, PKS, ZPB im. J. Marchlewskiego, ZPB im. Hanki Sawickiej, Eltę, ZSM nr 2, Polfę, Famed, Spółdzielnię Polan i szereg innych. W całości nakładów partycypuje też spółdzielczość pracy i spółdzielczość inwalidzka. Wspomnę jeszcze, iż kubatura nowych obiektów przemysłowych wyniesie ok. 1.432,5 tys. m. sześć., zaś powierzchnia użytkowa — ok. 218,3 tys. metrów kwadratowych.

Dzisiejszy, odmieniony kształt Bałut jest najbardziej namacalnym przykładem dziejowego awansu naszego wielkiego, robotniczego miasta, radosną konsekwencją usuwania wszelkich niegodziwości burżuazyjnych rządów.

Obchodzimy 25 rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej, rocznicę, którą szczególnie uroczyście święcimy na Bałutach. To tutaj przecież, na owczesnym Marysinie II i Marysinie III, w dramatycznych okolicznościach hitlerowskiego terroru, łódzcy komuniści — **Ignacy Loga-Sowiński, Mieczysław Moczar, Tadeusz Głąbski, Marian Kuliński, Stanisław Gojębiewski, Leon Koczaski, Czesław Szymański, Stefan Przybyszewski i inni,** tworzyli z grup sabotażowych i dywersyjnych, działających w Łodzi w latach 1940—41, pierwsze komórki PPR i Gwardii Ludowej. To tutaj na Bałutach powstała i stanęła do walki z okupantem młodzieżowa organizacja „Promienistych",

Pod kierownictwem PPR, świadoma część mieszkańców ówczesnych Bałut zerwała się wnet do boju z hitlerowskim oprawcą, do walki o nową Polskę.

Dziś, spoglądając na dorobek 22 lat Polski Ludowej, nie sposób zaprzeczyć, iż głównym motorem tych wielkich sukcesów był program polityczny PPR, nakreślony 25 lat temu. Jego busolą było umiłowanie ojczyzny i narodu polskiego, sprawiedliwość społeczna, postęp. Zdobycze socjalne, bytowe i kulturalne łódzkiego społeczeństwa oraz dalsze, ciekawe i szerokie perspektywy rozwojowe są owocem, który mógł zrodzić tylko ustrój demokracji ludowej.

* * *

Takie są, najogólniej rzecz ujmując, Bałuty roku 1966—67. Oczywiście nie wszystko jest jeszcze tutaj tak jak być powinno. To i owo złości nieraz i gniewa mieszkańców dzielnicy, mówią o tym, poddają krytyce, postulują rozwiązania. Ta społeczna ingerencja, zaangażowanie, jest bardzo cennym, a nawet niezbędnym, elementem nieustannego rozwoju i postępu dzielnicy.

Ale Bałuty — to tylko jedna komórka organizmu naszego wielkiego miasta, a przecież i pozostałe cztery dzielnice mają do odnotowania równie wielkie sukcesy na swoim terenie.

Dalszy rozwój miasta i poprawa bytu jego mieszkańców są nieustanną troską Komitetu Łódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Miejskiej Rady Narodowej, które tu, na miejscu, realizują wytyczne naszej Partii i rządu PRL.

CZESŁAW KARBOWSKI

---

1) „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1937.

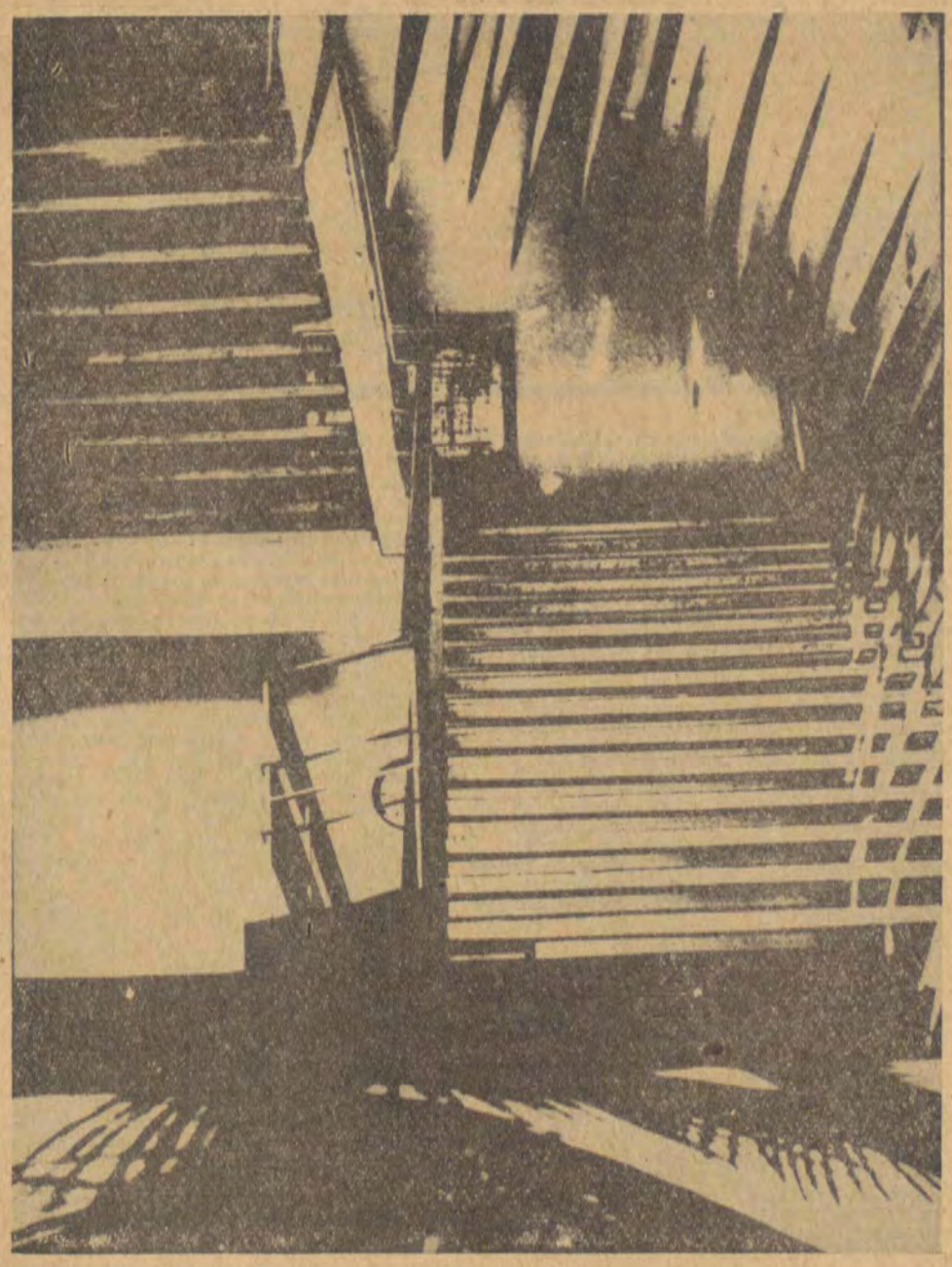

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII *Fot. J. Baranowski*

Fot. E. Kudaj

ANDRZEJ MAKOWIECKI

NIM PODNIOSĄ KURTYNĘ

To były gorące dni — te ostatnie chwile przed premierą: trema, podniecenie, nerwy napięte, jak struny; widziałem ludzi słaniających się na nogach, zmęczonych, bo próby trwały od wczesnego ranka aż do północy, a nieraz jeszcze dłużej... i czasem ogarniało mnie zwątpienie, czy ten młyn z muzyki i techniki, czy ta nieustanna krzątanina aktorów, robotników, inżynierów i sprzątaczek, scenografów, techników i dyrygentów — rzeczywiście czemuś służy, naprawdę do czegoś zmierza...

Ale potem usłyszałem „Halkę": była to tylko generalna próba, ostatni szlif przed premierą, siedziałem w piątym rzędzie, na parterze, pośród wytwornych garniturów i wspaniałych wieczorowych sukien, pośród ludzi wzruszonych, zasłuchanych w muzykę, olśnionych grą świateł na scenie, i miałem wrażenie że to już, że to właśnie teraz jest ten najważniejszy moment, że to właśnie — oficjalne otwarcie. 19 stycznia, święto wyzwolonej Łodzi, a „Halka" była tak piękna, tak bardzo polska, że jak dotąd nie przepadałem za operą — bo skąd: nie wiedziałem przedtem gdzie jej szukać — to teraz miałem dreszcz na całym ciele (dreszcz — mój licznik, mój termometr, nigdy mnie nie zawiódł) i na śmierć, zapomniałem, że jest jeszcze coś poza tą muzyką, śpiewem, światłami, sala pełną wieczorowych sukien i wytwornych smokingów; zapomniałem na śmierć, że kiedy opada kurtyna, tam na tyłach, na zapleczu — trwa dramatyczna walka: gigantyczne sceny przesuwają się w powietrzu, powierzchnie wielkie, dekoracje, wędrówka domów wyrzeźbionych w drzewie, gór i lasów, i lepiej o tym nie wiedzieć — jeśli się tylko przyszło na operę, tylko żeby słuchać, a w przerwach między aktami chodzić po śliskich, marmurowych posadzkach, w kaskadzie lampionów — zawieszonych u sufitu, gęstych jak dojrzałe winogrona — lepiej nie wiedzieć, przeczytać najwyżej w „Odgłosach" że...

1.

Teatr Wielki ma swoich cichych bohaterów. Taki inspicjent chociażby: człowiek, którego z widowni nie zobaczysz, nie zbiera oklasków, kwiatów nie dostaje, nikt o nim w zasadzie nie wie, ale on — pozbawiony pałeczki dyrygenta — kieruje przecież całym przedstawieniem. Jego warsztat: pulpit inspicjenta, ogromna, sprowadzona z Wiednia maszyna, z tysiącem guziczków, i przycisków, łączy się z każdą garderobą artystów, z każdym stanowiskiem w teatrze. Gra się na tym pulpicie z partytury; i to z najtrudniejszej partytury w świecie, bo wyciąg fortepianowy z „Halki" — jest tylko jej niewielką cząstką. Wyjście poszczególnych artystów, zmiana świateł i cieni, scen, dekoracji, rekwizytów — inspicjent ma to wszystko w swojej partyturze; teraz, w czasie generalnej próby, krzyczy w mikrofon: „Kamiński, przygotuj się; Za dwie minuty na scenę!". I za minutę powtórzy to samo. Nie, on nie może się pomylić, on nie może się zawahać, on musi spamiętać najdrobniejsze szczegóły spektaklu — wpisane w partyturę przez kompozytora, dyrygenta, reżysera, scenografa, choreografa, kierownika chóru — musi wygrać te wszystkie szczegóły, tak, jak pianista w koncercie fortepianowym musi wygrać wszystkie nutki. Inaczej — coś ucierpi, coś nie wyjdzie zgodnie z wolą twórców.

Na pięć przed dwunastą przyglądam się pracy inspicjenta Kazimierza Cybulskiego. Cybulski jest opanowany, zmęczony, lecz skoncentrowany do maksimum. To znakomity specjalista, wybitnie zasłużony dla Opery Łódzkiej. Kiedy patrzę na jego twarz, połyskującą w migotliwych światełkach pulpitu, nabieram przekonania, że premiera musi się udać, tak, jak teraz udaje się próba.

Ba, żeby premiera. — Jedno jedyne przedstawienie z pompą, z błyskiem fleszów reporterskich, i przy obecności wielkich ludzi. Ale takich premier — aż cztery: dziewiętnastego stycznia „Halka", potem kolejno: „Kniaź Igor", Borodina, „Straszny dwór" i „Carmen" Bizeta. Każda z tych premier, to dla jednych: wielkie wydarzenie kulturalne, dla innych: ciężka wojna nerwów, i przytłaczająca piersi trema. Tremie podlega każdy, kto pracuje w orbicie sceny. Tremę mają muzycy z orkiestronu, śpiewacy, chór, balet, inspicjenci — także robotnicy z obsługi technicznej, na których jeszcze niedawno (bo teraz siedzę w piątym rzędzie na widowni, mam za sobą pierwszy akt „Halki", zapala się jaskrawe światło, ludzie wstają z miejsc i wychodzą do wspaniałych poczekalni) patrzyłem z bliska, jak próbowali zmiany dekoracji, jak pracowali w pocie czoła przy dźwigach i zapadniach, a potem patrzyłem na nich z wysokości jako że wsiedliśmy w dźwig roboczy i pojechaliśmy na sam szczyt najwyższej części budowli — i z tego szczytu, z wysokości 14 pięter, wyglądali jak krasnale w tych swoich czerwonych hełmach, chroniących przed urazami, albo jak małe, czerwonogłowe mrówki uganiające się za czymś po wielkiej, rozświetlonej powierzchni.

Tremę ma także Andrzej Ambroziński, młody, dwudziestoparoletni operator światła. Odwiedzałem go w kabinie parę razy. Był o ósmej rano i o ósmej wieczorem. Przeprowadzał próby zespołowe, i sam, indywidualnie, też przegrywał raz po raz swoją partyturę, w której zupełnie nie mogłem się połapać. Zapis — gęsty, drobny, hieroglify jakieś niebywałe na wielkich kartonach papieru, tu fiolet, tam czerwień, tam znów światła dla widowni, cała gama soczystych kolorów z reflektorów przykrytych filtrami, cała gama cieni i półcieni, które tworzą ten właściwy, niepowtarzalny nastrój... Pan Andrzej, choć technik z zawodu, też musi (chce!) znać na pamięć akcję całego spektaklu, i zna tę akcję, dobrze! — mimo to — powiada — trema dusi człowieka za gardło, a im bliżej premiery — tym bardziej...

Partytury posiadają także elektroakustycy, których kabina jest wysoko, ponad widownią. Urządzenie tej kabiny, to drugi i ostatni element Teatru Wielkiego sprowadzony z zagranicy, z Wiednia. Poza tym — wszystko zrobione zostało w Polsce.

Elektroakustykami są: Stanisław Miszczak i Zygmunt Michalski. Akcją zaś, w czasie przedstawienia, kieruje reżyser dźwięku. Widziałem ich w czasie próby (bo teraz siedzę w piątym rzędzie i kończy się właśnie drugi akt „Halki"). Trema, rzecz jasna, zawitała i do nich, lecz nie o tremie chcę mówić, chcę mówić o ich pracy: też, od wielu miesięcy, nieustannie tkwią na stanowiskach, próbują różnych efektów; mogą nagrać na magnetofon to, co powstaje na scenie, mogą również przekazać na scenę to, co powstaje w kabinie: ot, na przykład, przez odpowiednią regulację dźwięku — stwarzają iluzję, że harfa brzmi głośniej, niż w rzeczywistości, że smyczki słychać z pogłosem i echo jakieś ciągnie się za nimi: mogą — jeśli tego zażąda reżyser — zrobić rżenie koni, tupot nóg, burzę, grzmoty, gromki śmiech, a gdyby meldunek napłynął, że lewa strona widowni nie odbiera muzyki w odpowiednim natężeniu, wtedy unagłośnia tę pechową stronę, no i słychać będzie dobrze.

2.

Trzeci akt „Halki". Wciąż mam wrażenie, że to już premiera. Takie to wszystko strojne, podniosłe, aktorzy skupieni, czujni, skrępowani trochę tremą, piękne staropolskie szaty na scenie, na widowni, ciemne garnitury, suknie wieczorowe, i dyskretny zapach perfum... Człowiek w takiej atmosferze na śmierć zapomina, co widział parę godzin temu, za kulisami teatru...

Pierwsze otwarcie kas dla szerokiej publiczności. Tłok i harmider. Długa, długa kolejka. (Oby takie były zawsze!) Ludzie z wszystkich środowisk. Z wszystkich krańców miasta. Także młodzież nasza, kochana. Także długowłosa. Koło kasy — kawiarnia publiczna, dopiero co otwarta. „Klasa — mówi chłopiec do dziewczyny — będziemy tu chodzić na kawę"... Jakaś pani w karakułach pomyślała widocznie to samo. „Wypijmy tu kawę" — powiedziała do męża. „Z przyjemnością kochanie" — powiedział.

Na placu Dąbrowskiego grupki zwiedzających: zadzierają głowy, obmacują mury, ktoś zdjęcie robi od strony sądów, ktoś inny wysokość mierzy piętrami, medytuje głośno, czy ta najwyższa część Opery wyższa jest od gmachu Telewizji, czy niższa. Ale któż odgadnąć potrafi, co się dzieje tymczasem w teatrze...

Ostatnie kolegium. Gorączkowe. Pełne napięcia. Zapadają ostateczne decyzje w sprawie premierowych obsad. Wiadomo już (nie wszystkim), kto zagra „Halkę", a kto Jontka, wiadomo, kto obsadzi główne role w premierze „Carmen" i „Kniazia Igora". Koniec kolegium. Staszek Dyzbardis, kierownik literacki Opery, kursować teraz będzie przez najbliższe kilka godzin, pomiędzy teatrem i drukarnią. Robi korektę szczotek programu. „Carmen" wyszła na medal. W programie „Kniazia" jakieś usterki graficzne, trzeba poprawić...

Zastępca inżyniera głównego — Wiesław Kinderman — wyrusza na kolejną próbę techniczną. Musi zgrać w czasie każdą zmianę scen i dekoracji. Dużo tego. Bardzo dużo. Aż dziw, że się to nie popląta. Łapię go „po drodze".

— Pan mi przyrzekł dodatkowe wyjaśnienia!

Bezradnie rozkłada ręce. Przebiega jakiś muzyk. Pozdrawia Kindermana. „Spałeś dzisiaj?" — pyta. „Nie — mówi — przedwczoraj". Urywa się na scenę. Gonię za nim. Wskakuje do windy. Daję za wygraną. Ale mam przed sobą dyrektora Piotrowskiego. Zadziera głowę, patrząc na kurtynę, która osuwa się wolno, majestatycznie. Stoi w otoczeniu reżysera, scenografa i robotników. Podchodzę:

— Pan mi przyrzekł dwa słowa.

— Za chwilę — mówi — za chwilę.

Wiem, że ta chwila może potrwać dwie godziny. Ale nie mam prawa do buntu. To gorący okres, już pięć minut przed dwunastą, już każda minuta jest na wagę złota, a ja wszedzie pcham bezczelnie swój ciekawy reporterski nos i przeszkadzam ludziom w pracy.

Więc wycofuję się cicho. Do stołówki. Na herbatę. W stołówce raz tłok, raz pustka. Tłumy napływają falami.

— Poproszę pięć deka kiełbasy.

— Dziesięć deka sera.

— Porcję flaków.

Przy stolikach tancerki, śpiewacy, technicy, jakiś muzyk rozgrywa klarnet, sadzi gęstym, perlistym ściegiem zawiłe pasaże i gamy, potem ktoś go woła na próbę, wychodzi; przy bufecie pan o szpakowatych włosach (nie znam nazwiska — przepraszam) skarży się na opieszałość pomocników, trzy godziny — mówi — kładli jeden podest, do czego to podobne. Nie wiem jak wygląda taki podest, ale z tego, co widziałem, myślę, że ma ze dwie tony...

— Dwa serniki.

— Jedną kawę.

— Trzy bułeczki....

Połknąć to wszystko trzeba na chybcika, usta sparzyć herbatą, kefir wypić z butelki, i znów do pracy, na scenę, za kulisy, do kabin i pulpitów. Trwa młyn, nieprzerwany młyn, i tu, z dala od widowni, mogą cię nurtować wątpliwości, czy ta krzątanina czemuś służy, czy naprawdę to potrzebne...

*

Ale wątpliwości pryskają z chwilą, gdy się wchodzi do tej sali — pięknej, dostojnej, wypełnionej po brzegi muzyką i choćbyś nie wiem jak zmęczony był robotą — tu musisz zapomnieć o wszystkim. Siedzę w piątym rzędzie, na parterze, pośród wytwornych pań i panów, słucham próby generalnej „Halki", lecz zapominam, że to próba; akt trzeci zbliża się do końca, zaraz wybuchną brawa, huczne i rzęsiste, i choć to tylko sprawdzian przed premierą — soliści dostaną kwiaty.

JULIAN BRYSZ

GŁÓWNEJ MA NIE BYĆ

Puste witryny sklepów, do niedawna jeszcze wypełnione wszelkiaru błyskotkami. Zasunięte kraty, atmosfera opuszczenia. Na szybach przylepione niechlujne karteczki w rodzaju: „Warsztat kaletniczy przeniesiony na ul..." Do tego można by dodać również wiatr i błoto, gdyby się chciało za wszelką cenę wykrzesać nastrój wymarłej ulicy. Ale to nie miałoby sensu, smuteczek jest w gruncie rzeczy niewielki, bałagan zaś chwilowy.

Ulica Główna, najbardziej niezmienna dotychczas wśród wszystkich ulic łódzkiego śródmieścia, zaczyna się przeobrażać. Przechodnie, jak zwykle spieszący się i zaaferowani, nie zwracają uwagi na to, co się tutaj dzieje. Dzisiaj tylko dzieci mają czas na refleksje. Trzyletni brzdąc powiada: „Popatrz tata, dom psują!" To o robotnikach, którzy rozwalają na pół spróchniały drewniak.

„Leci" w szybkim tempie cała północna strona ulicy Głównej od Piotrkowskiej do Sienkiewicza. Nie żałuję tej przygarbionej, parterowej Łodzi, najwyższy czas już był na nią. Ale mimo woli budzi się w sercu malutki sentymencik. Ciśnie się na język knajacka ballada z repertuaru Aliny Janowskiej: „Panie, pan słyszał, Chmielnej ma nie być Chmielnej ma nie być już..."

Główna dla Łodzi była tym, czym Chmiel na dla Warszawy. Chmielnej nie ma już od paru lat. I tak samo bez żalu rozstaniemy się z Główną, bo nie ma co roztkliwiać się nad spuścizną przeszłości, jeśli była to przeszłość robaczywa i brudna. Inna rzecz, że nie było jeszcze pokolenia, które uznałoby za zabytek to, co zbudowało pokolenie poprzednie. Trzeba dopiero kilku dziesiątek lat dystansu, żeby zdać sobie sprawę ze straty. Pewien osiemdziesięcioletni staruszek, któremu już każdy krok przychodzi z trudnością, uzbroił się w akcesorium zupełnie dla siebie obce, mianowicie w aparat fotograficzny i cierpliwie, dom po domu, nie zważając na rozkisłą aurę, nieżyczliwą dla jego zreumatyzowanych nóg i nieszczelnych butów, fotografuje ulicę Główną, która ginie na naszych oczach. Nie wiem, czy ktoś poza tym staruszkiem pomyślał o utrwaleniu na taśmie filmowej żałosnego, ale historycznego przecież oblicza tej ulicy. Młodzież, która dorośnie za 10 lat, nie zrozumie już pojęcia „wielka wieś", nie potrafi wyobrazić sobie dawnej Łodzi. Truizmem zaś byłoby dodawać, że teraźniejszość tylko wtedy naprawdę można zrozumieć i docenić, kiedy porówna się ją z przeszłością.

* * *

W obrębie śródmieścia Łodzi tylko nieliczne ulice pozostały przy nazwach, nadanych im na początku — Piotrkowska, Wólczańska, Wschodnia, Główna...

Główna jest najmłodszą z nich. Pojawiła się na planie miasta dopiero w roku 1842. Skąd wzięła się ta nazwa? Dla wyjaśnienia potrzebny jest rzut oka na historię rozwoju terytorialnego Łodzi. Najpierw więc była stara wieś Łódź, lub Łodzia, w okolicy dzisiejszego Helenowa, następnie powstało Stare Miasto, którego centrum stanowił obecny Stary Rynek. Dzisiejszy Plac Wolności, dawniej Nowy Rynek, powstał jako punkt centralny Nowego Miasta. Dalszy rozwój Łodzi poszedł wzdłuż Traktu Piotrkowskiego: od Dzielnej (Narutowicza) na południe rozwinęła się osada przemysłowa Łódka.

W roku 1840 włączono w granice miasta obszar, leżący na wschód od obecnej ul. Kilińskiego i nazwano go Nową Dzielnicą. Centrum Nowej Dzielnicy stanowiły Wodny Rynek i leżący obok Park Źródeł, zaś ulica łącząca to centrum z Traktem Piotrkowskim, stała się jej ulicą główną. Dziś wydaje się dziwolągiem, że obok pryncypalnej ulicy Piotrkowskiej mamy również ul. Główną, zaliczającą się do podrzędnych, ale wówczas nikt nie mógł przewidzieć tego paradoksu, bo wcale nie było wiadomo, jak się potoczy dalszy rozwój miasta. W naszych czasach pojęcie Nowej Dzielnicy zanikło, lecz Główna pozostała.

Nie zawsze zresztą była to ulica ubogich sklepików i warsztatów. Tedy i dalej, dzisiejszą ul. Armii Czerwonej przez długie lata wiodła droga do Rokicin — jedynego dworca kolejowego, jaki Łódź miała na swoje usługi. Olbrzymie platformy dostarczały stamtąd bele bawełny, a wracały załadowane „towarami" z łódzkich fabryk. Między nimi zaś przemykały powoziki fabrykantów, udających się na stację lub powracających z dalekich wojaży — w interesach do Moskwy, na Krym i Kaukaz, na wypoczynek do „badów" zachodniej Europy. Przez Główną spływała produkcja największych zakładów łódzkich — Scheiblera, Grohmana, Geyera. Dla nich bez wątpienia była to ulica główna. Po obu jej stronach, jak zwykle na trakcie handlowym, wyrastały zajazdy i restauracje. Nawet pierwszy wielki zakład kąpielowy, dzieło niejakiego Beutlera, ulokował się właśnie tutaj, z myślą o zdrożonych wojażerach.

Główna straciła swą pierwszoplanową rolę dopiero w momencie wybudowania drogi żelaznej Fabryczno-Łódzkiej. To była pierwsza metamorfoza. Drugą przechodzi dzisiaj — równo sto lat później. Teraz jednak nie będzie to upadek, lecz powrót do dawnego znaczenia.

* * *

Tutejsze rzemiosło i handel mają za sobą 100 lat tradycji. Starsi łodzianie pamiętają, że po buty chodziło się nie gdzie indziej, lecz właśnie do warsztatów i sklepików na Główną, że tutaj kupowało się najlepszą w mieście „leberkę" (wątrobiana). Toteż nic dziwnego, że przy takich tradycjach nawet najsurowsze ograniczenia w tzw. minionym okresie nie potrafiły załamać prosperity ulicy Głównej.

Pan W.S. (sprzedaż galanterii — dawniej Główna 8) po przeprowadzce zainstalował się przy ul. Narutowicza. Jest właściwie zadowolony, bo władze poszły mu na rękę, pozwalając wybierać w propozycjach różnych lokali.

— Jednak, proszę pana — powiada — nie ma to, jak na Głównej.

— Jak to — replikuję — przecież dostał pan doskonały punkt — ruchliwa dzielnica, bliskość dworca. Poza tym tutaj jest pan sam ze swoim sklepem, a tam miał pan mnóstwo konkurentów.

— Nie rozumie pan specyfiki handlu — wyjaśnia. Im więcej sklepów, tym lepiej się sprzedaje, bo ludzie ciągną do dzielnicy handlowej, gdzie mają duży wybór. A tutaj, co to za dzielnica, II strefa handlowa i tyle.

Czego przed laty nie zniszczyły srogie dekrety, zlikwidował dziś urbanista, kreśląc swym ołówkiem plan przyszłej Łodzi. W roku bieżącym wyburzono przy Głównej 22 lokale handlowe. Sklepiki po parzystej stronie ulicy jeszcze się trzymają, ale ich właściciele skarżą się na coraz mniejszy ruch. Atmosfera niepewności i tymczasowości wypłasza klientów. Środowisko ulicy Głównej zostało bezpowrotnie rozbite.

* * *

Trzeba powiedzieć, że władze (Prez. DRN — Śródmieście) znalazły się bardzo fair wobec prywatnych kupców i rzemieślników. Jak panu S., tak i innym, dano do wyboru sporo możliwości. W 5 wypadkach przyjęto nawet takie rozwiązanie, że ze wskazanego lokalu wyprowadzono lokatorów do nowych bloków, instalując na to miejsce warsztat lub sklep. Nikogo nie postawiono w przymusowej sytuacji, nie zmuszono do likwidacji „interesu". Jeśli spojrzeć na sprawę z drugiej strony, to władze również nie skarżą się na kupców i rzemieślników z ul. Głównej. Na ogół „wybrzydzali" oni tylko w granicach rozsądku, nie stawiali wygó-

Organizacja 40 tys. entuzjastów

„Stowarzyszenie ma na celu: Krzewienie miłości do Łodzi, pielęgnowanie jej tradycji upowszechnianie wiedzy o tym mieście, jego przeszłości i pracy dnia dzisiejszego, zespalanie wysiłków społecznych i współpraca z Radą Narodową w dziedzinie szeroko pojętej estetyki miasta, urbanistyki, architektury i poprawy jego urządzeń komunalnych, współpracę z konserwatorem zabytków w celu roztoczenia nad nimi należytej opieki, inicjowanie wydawnictw artystycznych i propagandowych o Łodzi, inicjowanie łódzkich wystaw poza Łodzią, inspirowanie twórców do tworzenia dzieł tematycznie związanych z Łodzią, bądź przynoszących chwałę miastu, inicjowanie festiwalów teatralnych, śpiewaczych, muzycznych, filmowych...” (ze statutu Towarzystwa Przyjaciół Łodzi).

* * *

Wprawdzie Towarzystwo Przyjaciół Łodzi obchodziło niedawno ósmy rok działalności, ale zdecydowaliśmy się zaliczyć je do dziesięciolatków co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze działa tak intensywnie i przejawia tyle inicjatywy, że jego lata pracy liczą się prawie podwójnie, a po drugie właściwie powstało już 10 lat temu, ale wówczas trudności organizacyjne i inne, pokonały młodą organizację społeczną. Przestała działać. Dopiero w półtora roku później, poprzedzone prawie trzymiesięczną dyskusją, również na łamach gazet, odbyło się zebranie organizacyjne, które tym razem już na stałe powołało do życia Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Opracowanie statutu powierzono łodzianinowi i entuzjaście Łodzi — posłowi Eugeniuszowi Ajnenkielowi. On też został przewodniczącym TPŁ i pełni tę funkcję do dziś. Jego to właśnie prosimy o rozmowę.

— Rozwój Towarzystwa na przestrzeni minionych lat można chyba nazwać wręcz żywiołowym — tak szybko rozrosło się liczebnie, tak wzmocniło organizacyjnie. Jakie są, pańskim zdaniem tego przyczyny?

— Na pewno wiele przyczyn, ale główną wydaje mi się fakt, że główny trzon stanowią prawdziwi entuzjaści Łodzi, których nikt do przyjścia do nas nie namawiał. Warto wrócić tu na chwilę do początków. Na pierwsze zebranie organizacyjne, tylko na skutek anonsu w prasie, przyszło aż 300 osób. Reprezentowały one szeroki przekrój społeczny — działaczy politycznych i społecznych, twórców, ludzi pióra, robotników. I dziś, choć liczba 300 przekształciła się w blisko 40 tysięcy członków, przekrój społeczny jest równie zróżnicowany.

— 40 tysięcy — to ogromna rzesza. Jak doszło do tak masowego uczestnictwa?

— Głównie dzięki kołom przyzakładowym (jest ich ok. 150) i kołom szkolnym TPŁ (95 kół). Zastanawiając się nad głównym kierunkiem pracy postanowiliśmy przede wszystkim skupić uwagę na młodzieży szkolnej. Chcieliśmy, by poznawała ona i samo miasto, parki, ogrody, zabytki, stare i nowe budownictwo i jego tradycje i historię. Jeśli młodzież pozna Łódź, to ją pokocha, jeśli pokocha — będzie chętnie dla niej pracować. Dziś szkolne koła TPŁ zrzeszają około 28 tysięcy dziewcząt i chłopców. Organizujemy dla nich wycieczki, quizy, konkursy różnego typu: plastyczne, fotograficzne, piśmienne. Na nagrody, przede wszystkim książkowe, przeznaczamy co roku 8 tys. zł.

— A czy dorośli łodzianie znają swoje miasto?

— Także słabo. Stąd nasze wycieczki tematyczne (poznaj Piotrkowską, Łódź o zmierzchu, Szlakami barykad, Zamarła przeszłość itd.), piesze, dorożkami, tramwajami czy na rowerach. Organizujemy stale wystawy, konkursy plastyczne (na plakat o Łodzi, plakat teatralny, 50-lecie Rewolucji Październikowej i wiele innych). Nasza akcja wydawnicza nie jest zakrojona na szeroką skalę, ale mamy już na swoim koncie kilka pozycji książkowych i wiele wydawnictw okolicznościowych. Własnym sumptem wydaliśmy „Łódź w latach 1945—60”, „Życie gospodarcze i społeczne Łodzi” oraz „50-lecie „Lokatora”. Współuczestniczyliśmy w wydaniu „Teatru pokolenia” M. Czanerle, „Dzieje wielkiej kariery” H. Dintera i „Rocznika Muzeum Sztuki”. Funduiemy nagrody dla literatów, młodych poetów, dziennikarzy — recenzentów i publicystów, plastyków, aktorów itd.

— To wszystko pochłania spore sumy. Skąd Towarzystwo czerpie na to fundusze?

— Nasz bilans roczny jest dość pokaźny, zamyka się kwotą pół miliona złotych. Ze składek członkowskich, mimo że są one raczej groszowe, uzyskujemy rocznie około 90 tys. zł. Reszta — to nasza tajemnica. Mogę pani tylko powiedzieć, że na pierwszym zebraniu organizacyjnym przeprowadziliśmy składkę, w której zebraliśmy 340 zł. To był nasz pierwszy kapitał. Potem działalność rozpoczęliśmy od wizyt u co zamożniejszych dyrektorów fabryk. Po pół roku mieliśmy już kilkanaście tysięcy zł.

Przed czterema laty powstał Klub Miłośników Teatru, który ma dziś około 5 tysięcy członków. Spotkania z ludźmi teatru, aktorami, autorami, reżyserami, krytykami, dyskusje nad przedstawieniami i wreszcie zniżkowe bilety do teatru — to wszystko stanowi magnes przyciągający tak wiele osób. Młodszy i mniej liczny jest Klub Przyjaciół Filharmonii, który powstał półtora roku temu i jeszcze się rozwija.

— Towarzystwa przyjaciół różnych miast istnieją w całym kraju. Czy prowadzą one jakąś wymianę doświadczeń, jakieś spotkania?

— Odbywają się ogólnopolskie zjazdy. Ostatni miał miejsce w Toruniu. I tak na marginesie: miło mi się zrobiło, gdy przedstawiciel toruńskich władz kulturalnych, witając gości, na wstępie zacytował wiersz Tuwima o Łodzi. Nasze Towarzystwo jest jednym z najstarszych w kraju. W trzy lata po naszym powstało Towarzystwo Warszawskie, Szczecińskie i inne. Łódzkie jest największe liczebnie, najbardziej masowe i najoperatywniejsze. W akcji wydawniczej zajmujemy drugie (po Wrocławiu) miejsce.

— Panie pośle, jako przewodniczący TPŁ i jako łodzianin rozmiłowany w swoim mieście — niech nam Pan powie jakie jest pańskie stanowisko wobec sprawy, budzącej wiele sprzecznych opinii: zabytków miasta. Czy zdaniem Pana należy zachowywać wszystko co mówi o przeszłości, czy też należy poczynić pewne ustępstwa na rzecz nowoczesności?

— Jestem zwolennikiem umiaru w tej sprawie. Moim zdaniem należy wybrać najciekawsze obiekty, reprezentatywne dla pewnych kierunków (na przykład secesji, unikatowej w kraju) sztuki czy architektury, obiekty mające charakter bardziej trwały i zachować je (do takich zaliczam np. Ratusz, Białą Fabrykę, dworek Geyera, kościół św. Józefa). Ale nie można chronić wszystkiego, Łódź musi stawać się przecież coraz nowocześniejsza, coraz wygodniejsza dla jej mieszkańców. Wiedzę o tym jak żyli pierwsi łodzianie powinien zachować skansen, nie koniecznie od razu na wielką skalę.

— Jak widać zasięg działalności i wpływów Towarzystwa Przyjaciół Łodzi jest wręcz nieograniczony, obejmuje wszystko niemal co dotyczy Łodzi i jej najżywotniejszych problemów.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

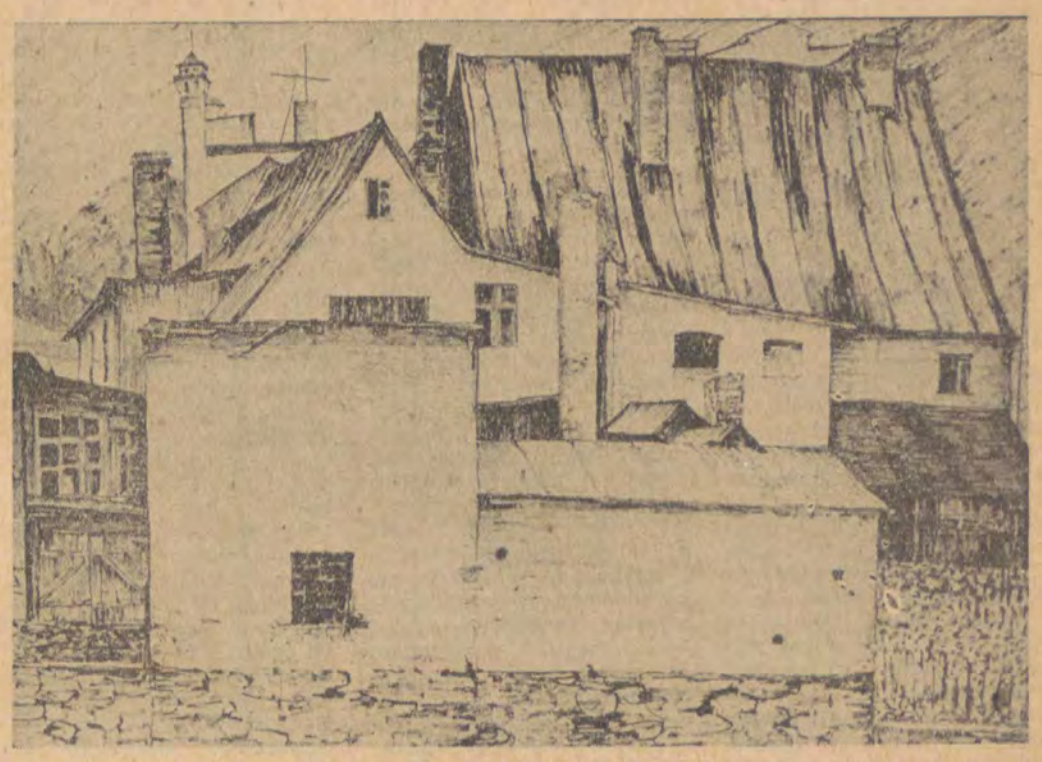

Zuzanna Jackowska—tusz. *Fot. A. Idziński*

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

„ROCZNIK ŁÓDZKI”

Ukazywanie się każdego tomu „Rocznika Łódzkiego” jest z radością spotykane przez coraz liczniejsze grono miłośników regionalnej przeszłości. Rosnące „obawianie się” coraz to nowych autorów, świadczy o wciąż postępującym wzroście grona badaczy dziejów Ziemi Łódzkiej.

Wśród różnorodnej tematyki prezentowanej na łamach XI tomu za rok 1966 centralny problem stanowi czterdziestolecie pracy naukowej prof. dr. Józefa Dutkiewicza. Artykuł zbiorowy uczniów profesora przedstawia jego bogaty i różnorodny dorobek naukowy, zaś dr W. Zwolska zajęła się działalnością dydaktyczno-pedagogiczną Jubilata. Bibliografia prac prof. Dutkiewicza zawiera ponad 200 pozycji monografii, rozpraw, szkiców, recenzji i artykułów publicystycznych. Są tam także podane i artykuły ogłaszane na łamach „Odgłosów”.

W dziale „Rozprawy i artykuły” mamy 10 prac z różnych epok. Tematykę średniowieczną porusza ta: S. Wojtkowiak („W sprawie występowania owalnic w Ziemi Łęczyckiej”), J. Włodarczyk („Sprawy kościelne i wyznaniowe na sejmikach łęczyckich”), S. M. Zajączkowski („Uwagi nad dziejami Lutomierska w średniowieczu”). Zagadnienia gospodarcze regionu w XIX wieku znajdują odbicie w szkicach: J. Śmiałowskiego („Zajęcia pozarolnicze ludności wiejskiej”) i W. Zajączkowskiej („Z dziejów zgromadzeń rzemieślniczych w Łodzi w XIX wieku”).

Jednakże najbardziej bogato przedstawia się tematyka z historii okresu międzywojennego. T. Telma omawia pierwsze wybory do Rady Miejskiej m. Łodzi w styczniu 1917 r., a więc jeszcze w warunkach okupacji niemieckiej. B. Wachowska zajmuje się ciekawym fragmentem walk klasowych związanych z wypowiedzeniem przez fabrykantów zbiorowego układu pracy w przemyśle włókienniczym w kwietniu 1932 r.

Zabiegi łódzkiego przemysłu włókienniczego o rynek rosyjski w latach 1921—1922 porusza H. Dzidkowska w ciekawej i lekko napisanej (pomimo „wagi” tematu) rozprawie. Po zawarciu traktatu ryskiego przemysłowcy łódzcy dążą do odzyskania na nowo rosyjskiego rynku zbytu. Lecz w związku z potrzebami odbudowy gospodarczej Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka szukała kontrahentów na dostawy środków produkcji i środków transportu, a nie dóbr konsumpcyjnych. Wprawdzie poczyniono pewne zakupy materiałów włókienniczych w Polsce, ale miały one charakter sporadyczny. Handel „w wielkim stylu”, o którym marzyli łódzcy fabrykanci, okazał się fikcją.

Historii najnowszej poświęcony jest szkic T. Szymczaka pt. „Kształtowanie się władzy ludowej na terenie Łodzi”.

Z drobnych prac i materiałów zasługują na szczególną uwagę: L. Mroczki „Łódzka organizacja PPS wobec wojny polsko-radzieckiej 1919—1920” oraz M. Wilka „Początki łódzkiej organizacji TPP-R 1945—1947”.

Jak zwykle bogaty dział recenzji oraz kronika naukowa regionu zamykają interesującą całość.

Niepokojącym jest fakt zaznaczony w sprawozdaniu Polskiego Towarzystwa Historycznego (Oddział Łódzki) o zmniejszającej się liczbie odczytów naukowych na prowincji. Ten problem wymaga chyba specjalnej troski, a także i pogłębienia kontaktów Zarządu Oddziału z muzeami regionalnymi w Łęczycy, Sieradzu i Piotrkowie. Może właśnie w oparciu o muzea i archiwa powiatowe uda się rozszerzyć akcje odczytową, rzecz jasna uwzględniając tematyczne zainteresowania lokalne.

Na marginesie trzeba zaznaczyć, że sytuacja materialna „Rocznika” jest wciąż nieustabilizowana. Pomimo energicznych zabiegów doc. Libiszowskiej i dr Rosina Zarząd Główny PTH w Warszawie wcale nie kwapi się z przyznawaniem koniecznych dotacji.

W tej sytuacji jedyna nadzieja redakcji i czytelników pozostają nadal władze terenowe. Dotychczasowe ukazywanie się „Rocznika” miłośnicy regionu zawdzięczają dotacjom Łódzkiego Komitetu PZPR, oraz Prezydiów Łódzkiej i Wojewódzkiej Rad Narodowych. Oby ten mecenat zapoczątkowany jeszcze w 1958 roku trwał nadal!

rowanych żądań. Poza jednym wypadkiem — panią B. (wyrób kapeluszy — dawniej Główna 14). Dawano jej do wyboru najróżniejsze propozycje, ale o żadnej słyszeć nie chciała. Wreszcie musiano uciec się do eksmisji. Przydzielono jej lokal przy ul. Nawrot 11. Chciałem porozmawiać z panią B., ale okazało się, iż jej nowe locum stoi do dziś nieczynne i zapieczętowane. Inni już dawno zdążyli się urządzić, jej widać nie musiało się spieszyć.

* * *

Aż wierzyć się nie chce, że w tych kilkunastu parterowych i piętrowych domkach, wyburzonych w bieżącym roku, poza lokalami użytkowymi mieściło się również 46 mieszkań. I to jak zagęszczonych! Wszelkie rekordy pobił pod tym względem niejaki pan Stanisław M.

Pan Stanisław przybył do Łodzi w roku 1947 i pojął za żonę panią K., wdowę, matkę pięciorga dzieci, rezydującą w chałupce przy ul. Lutomierskiej w mieszkaniu 1-izbowym. Po paru latach, szukając lepszych warunków, przeprowadzili się na poddasze przy ul. Głównej 20. Był tam pokoik o powierzchni 16 metrów kwadratowych i kuchenka wygospodarowana ze strychu. Na Głównej zamieszkali już w dziewięcioro, bo do tego czasu urodziły się 2 córki z nowego małżeństwa. Potem w jedenaścioro, bo dwie najstarsze wyszły za mąż, potem zaś w 13 osób, bo urodziło się dwoje dzieci.

„Źle nam nie było — powiada pan M., który niewiele przywykł wymagać od życia — zawsze to sami swoi”. Jeden syn wżenił się na Rzgowską, ale gdy się okazało, że ma gruźlicę, to „żona go z domu wykotłowała i do samej śmierci już był u nas”. Umarł w wieku 35 lat, na wiosnę bieżącego roku, nie doczekawszy przeprowadzki.

Ambitny zamysł rozgęszczenia rodziny M. kosztował władzę ludową 4 dwupokojowe mieszkania, dwa w nowym budownictwie i 2 w starym. Odwiedzam pana Stanisława w nowym mieszkaniu na Dąbrowie. Przeniósł tu stare graty i stare nawyki, jeszcze nie całkiem przywykł do korzystania z udogodnień cywilizacyjnych. „Powoli wszystko się kupi — powiada, przedtem nie było jak. Najpierw same chrzciny a jak z tego się wyszło, to zaczęły się pogrzeby” (zginął w tym roku w tragicznym wypadku również jeden z zięciów). Pan M. zamieszkał wraz z żoną i dwiema najmłodszymi córkami. Nie krzywdzi sobie o nie. Nawet mu nie przeszkadza ani trochę, że do pracy teraz daleko.

W przeciwieństwie do właścicieli sklepików i warsztatów, byli mieszkańcy ulicy Głównej bynajmniej nie żałują, iż udało się im stamtąd wyrwać. W sumie przydzielono im 51 mieszkań, z tego 25 w nowym budownictwie. Jedna tylko staruszka, Stanisława Ch., posiadaczka pokoiku bez żadnych wygód na pięterku przy Głównej 8, za żadne skarby nie chciała się stamtąd ruszyć. Kiedy przed miesiącem zasięgałem wiadomości w kwaterunku, jeszcze siedziała w dawnym mieszkaniu — ostatnia lokatorka kwartału miasta, przeznaczonego na złom. Ale gdy już przed przystąpieniem do pisania artykułu postanowiłem jeszcze raz odetchnąć atmosferą ginącego krajobrazu i zrobiłem sobie kolejny spacer po Głównej, dom pod nr 8. już zniknął. Nie wiem, co się ostatecznie stało ze Stanisławą Ch.

* * *

Wyburzenia na Głównej są wstępem do dzieła zakrojonego na wielką skalę, do dzieła kompletnej przebudowy śródmieścia Łodzi. Czytelnicy najpewniej przypominają sobie ogólnopolski konkurs na temat wizji przyszłego śródmieścia rozpisany wśród urbanistów przed paroma laty. Wyniki tego konkursu relacjonowaliśmy obszernie na naszych łamach.

W Łodzi, z racji niezwykle zagęszczonej zabudowy, niełatwo jest dokonywać zmian układu przestrzennego. Każda decyzja w tej sprawie pociąga za sobą konieczność kosztownych wyburzeń. Niemniej, mimo kosztów, musimy przecież w końcu dostosować miasto do współczesnych wymagań cywilizacji — rozwijać arterie komunikacyjne, handel, usługi, budownictwo mieszkaniowe, ośrodki kultury, techniki, administracji i wiele innych obiektów, jakie stają się niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania wielkiej metropolii.

Konkurs, o którym wspominałem, pozwolił wytyczyć obszar przyszłego centrum Łodzi i wytypować obiekty, dla których musi znaleźć się miejsce na tym obszarze. Z kolei rozpoczął się etap praktycznych „przymiarek” wielkich zamierzeń do aktualnych możliwości. W obrębie przyszłego śródmieścia rzucały się w oczy dwa fragmenty terenu, gdzie kosztem najmniejszych wyburzeń można przystąpić do kreowania nowego „krajobrazu”. To ulica Traugutta w rejonie ŁDK oraz ul. Główna od Sienkiewicza do Piotrkowskiej, wraz ze swym przedłużeniem — ulicą Mickiewicza — do Alei Kościuszki. W ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy, cały ten „ciąg” otrzyma szeroką dwupasmową, jezdnię, a na miejscu rozbieranych właśnie chałupek wyrośnie 5 budynków wysokościowych po 16 pięter. Partery i pierwsze piętra zajmą sklepy i lokale usługowe, wyżej ulokują się biura i urzędy.

Rzecz jasna, na tym fragmencie się nie kończy. Dalsze plany przewidują poszerzenie Głównej aż do połączenia z ul. Armii Czerwonej. Powstanie w ten sposób pierwsza w mieście szybka trasa o kierunku wschód — zachód, złamany zostanie niewygodny, „kiszkowaty” układ miasta, rozciągniętego z północy na południe. Na dalsze odcinki północnej strony ul. Głównej wkroczy również zabudowa wysokościowa z przeznaczeniem na biura, salony wystawowe, usługi, itp. Natomiast strona południowa stanie się granicą Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Dzielnica ta, obliczona na kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, powstanie na sporym obszarze, którego pozostałe granice wyznaczą: Aleja Kościuszki, Świerczewskiego i Brzeżna oraz od wschodu — ul. Kilińskiego. I tu również będzie dominował typ budownictwa wysokiego, przy czym pozostawi się na swoim miejscu wszystko co „zdrowe” z istniejącej zabudowy. Ze skrzyżowania architektury staromodnej, sprzed stu lat bez mała i architektury nowoczesnej, powinien powstać ciekawy krajobraz przestrzenny.

Są to plany nie na dziesięciolecia, lecz na lata najbliższe. Władze miasta poświęcają im wiele uwagi i sądzić należy, że już wkrótce wiele z elementów tych zamierzeń przyoblecze się w konkretne kształty.

* * *

Z parterowej perspektywy dobiegającej swych lat ulicy Głównej, która znamy, trudno dostrzec zarysy nowej kompozycji. Wrośnięci w rzeczywistość, ją odczuwamy najsilniej, reszta jest zwiewnym mirażem. Gdy zaś przeskakujemy w rzeczywistość nową, ledwie wczoraj stworzoną, zapominamy natychmiast o tym, co minęło, nie wyobrażamy sobie, że kiedyś było inaczej. Tak stanie się i z Główną, która jeszcze jest, ale której „ma nie być już”. I tylko w archiwaliach będzie można się doczytać, że stulecie 1866—1966, od momentu uruchomienia kolei Fabryczno-Łódzkiej do chwili rozpoczęcia generalnej przebudowy śródmieścia Łodzi, upłynęło na tej ulicy pod znakiem kramarskiej, drewnianej zabudowy, nie pozbawionej uroku, ale jakże anachronicznej w naszych czasach.

JULIAN BRYSZ

PS. Za wiadomości, dotyczące przyszłego kształtu ul. Głównej, autor dziękuje głównemu architektowi m. Łodzi — mgr inż. E. Budlewskiemu, zaś na temat jej historii — miłośnikowi i koneserowi dawnej Łodzi — p. Z. Konickiemu.

MARIAN PIECHAL

O pomnik i muzeum Reymonta

Gdzie? W Łodzi. Dlaczego? Bo Łódź jest stolicą województwa, w którym się Reymont urodził akurat sto lat temu we wsi Kobiele Wielkie pod Radomskiem. W rok później rodzina jego przeniosła się na całe dwanaście lat do podłódzkiego Tuszyna. Okoliczne pola, łąki i ogromne wtedy lasy, których piękne resztki do dziś jeszcze podziwiamy między Rzgowem a Tuszynem, były pierwszą szkołą wrażliwości na uroki przyrody, wsi i jej ludzi w okresie dzieciństwa i wczesnych lat budzącej się świadomości chłopięcej przyszłego autora „Chłopów". Dalszą dopełniającą edukacją tej pamiętliwej wrażliwości była Łódź, gdzie Reymont zdawał nieudany egzamin do rosyjskiej szkoły średniej, i Częstochowa, gdzie ten egzamin wprawdzie zdał, ale ze szkoły za świadomie notoryczne nieuctwo wkrótce został usunięty. Ze szkół tych Reymont nic istotnie nie wyniósł, ale za to samo życie pozaszkolne w Łodzi i Częstochowie było prawdziwą szkołą wtajemniczenia w nowoczesną problematykę kapitalizmu i jego konfliktów dla przyszłego autora „Ziemi obiecanej".

Po nieudanej próbie nauki w Częstochowie, gdzież nie był, czego nie robił? Był w Warszawie, w Berlinie, w Paryżu, a nawet w Londynie. Odbywał nowicjat u ojców Paulinów na Jasnej Górze, włóczył się po kraju jako aktor Urbański z wędrowną trupą, występował za granicą na płatnych seansach spirytystycznych w charakterze medium, zdał (wreszcie!) egzamin na czeladnika krawieckiego. Ale wszystko to — to było nie to, do czego był stworzony. Póki co, zaczął więc pisać wiersze, wróciwszy do ojcowskiego domu, ale już nie do Tuszyna, tylko do Prażek tuż nad torem kolejowym równo w połowie drogi między Piotrkowem a Koluszkami, gdzie rodzic jego kupił młyn, a jako organista przygrywał w niedziele i święta do mszy i nieszporów w kościele pobliskiego Będkowa. Wrócony na rodzinne łono syn marnotrawny na młynarczyka się nie nadawał, śpiewać w chórze kościelnym nie potrafił, więc ojciec wyrobił mu posadę na kolei. Został pomocnikiem dróżnika na linii Rogów — Płyćwia, ściślej na odcinku między wsią Krosnowa, w której zamieszkał, a Lipcami, które potem uczynił tematem swej epopei. Miał już wtedy lat 23.

Ale i tu długo nie popasa. Kropi nadal wiersze i prócz tego czyta po całych dniach powieściowe romanse, przede wszystkim Sienkiewicza. Jest nieprzytomny od emocji, zaniedbywa coraz częściej obowiązek doglądania torów. Przyłapuje go na tym nie raz i nie dwa jego nadopieczny dróżnik. Wreszcie melduje, gdzie trzeba, i niefortunnego czytacza romansów wylewają z posady. Tym razem postrzelony syn młynarza z Prażek zrozumiał: nie nadaje się do żadnej poważnej i odpowiedzialnej pracy. Nie pozostało mu nic innego jak tylko — pisać. Nieszczęsny, nie wiedział wtedy jeszcze, że pisanie to właśnie praca najbardziej poważna i najbardziej odpowiedzialna. Ale on tej pracy — jak miała tego dowieść najbliższa przyszłość — sprostał z nadmiarem i z honorem. Z honorem dla siebie i — za co mu jesteśmy wdzięczni — dla nas.

I dlatego w setną rocznicę jego urodzin należy mu się pomnik i muzeum w Łodzi. Pomnik od całej Polski z inicjatywy naszego miasta, a muzeum od naszego miasta i województwa. Dlaczego? Bo jest największym pisarzem ziemi łódzkiej, najsubtelniejszym piewcą jej uroków, najwymowniejszym wyrazicielem losów jej miast i wsi, ludzi pracy na wsi i złożonego świata pracy w mieście z okresu kapitalistycznego wyzysku i budzącej się świadomości wyzyskiwanych, artystą światowej miary, uwieńczonym najwyższym uznaniem — międzynarodową nagrodą Nobla.

Reymont jako pisarz narodził się na trasie: Piotrków — Koluszki — Skierniewice. W międzyczasie zajrzał do Łodzi — po drodze mu było. Jakby go określić socjalnie? Ni chłop, ni robotnik, ni właściwie inteligent (co innego zaś niezwykły wrodzony talent i niezwykła wrodzona inteligencja). Po prostu łyk, czyli ktoś z pogranicza wsi i małego miasteczka, a jednak w losie jego życia odzwierciedlił się los dziesiątków i setek tysięcy proletariuszów łódzkich, których znakomita większość wędrowała do naszego miasta jako do ziemi obiecanej podobnie jak i Reymont gdzieś z okrajów naszego województwa, z jakichś odległych Kobiel Wielkich, poprzez coraz bliższe Tuszyny, Prażki, Będkowy, ażeby wreszcie osiąść w Łodzi jako stolicy nowoczesnego świata pracy, nadziei lepszego życia. Reymont wprawdzie w dosłownym znaczeniu w Łodzi nie osiadł, ale zamieszkał w niej i jej okolicach na zawsze przez swoje dzieła, które się liczą do największych, jakie dotychczas z natchnienia ziemi łódzkiej powstały, jakie z ducha jej tematyki wyrosły.

Czy o tym wszystkim wie przeciętnie inteligentny mieszkaniec naszego miasta i województwa? Niestety, z przykrością trzeba odpowiedzieć, że nie. Na dobrą sprawę nie mamy nawet pełnego i dokładnego życiorysu Reymonta. A jak powiada prof. Julian Krzyżanowski, autor jedynej właściwie próby monografii o autorze trylogii opisującej rozbiory Polski („Rok 1794"), życie Reymonta to osobne jego dzieło godne największych przez niego napisanych. Kto temu winien? Dalipan, niech mnie nikt nie posądzi tutaj o brak szacunku dla naszych uczonych polonistów i historyków literatury, bo zgrzeszy, ale właśnie oni.

Pytam się, co zrobił dla pogłębienia i poszerzenia wiedzy o Reymoncie w ciągu okrągłych dwudziestu lat swego istnienia Uniwersytet Łódzki, którego to było i jest pierwszym obowiązkiem? Nic. Dosłownie nic, bo chyba popularnych broszur i przyczynkarskich referatów nie będziemy liczyć. Honor po części uratował literat — myślę o jedynej poważnej pracy jaka się po wojnie na temat Reymonta ukazała, o książce Lecha Budreckiego, bo niezwykle cenna i odkrywcza praca o „Chłopach" Reymonta Marii Rzeuskiej, aczkolwiek ukazała się w roku 1950, to jednak napisana została jeszcze przed wojną. Polonistów i historyków literatury w naszym mieście zdaje się nie obchodzić w ogóle jego tradycja kulturalna i literatura. A przecież Reymont, Miciński, Bartkiewicz, Dłużniewski, Gliszczyński, Szandlerowski, Braun, Karpiński i jeszcze kilku innych — to filary tej tradycji i literatury. Kto bada ich twórczość, kto uprzystępnia wiedzę o nich? Przed wojną nieliczna grupka polonistów łódzkich z prof. Stefanią Skwarczyńską na czele zainicjowała pracę naukową nad tradycjami kulturalnymi i literackimi Łodzi. Ukazało się studium M. Romankówny pt. „Ziemia obiecaną" Reymonta a rzeczywistość łódzka", Z. Hajkowski napisał szkic o Gliszczyńskim, L. Stolarzewicz grubą i wyczerpującą „Literaturę Łodzi" równie krytykowaną, jak niezastąpioną do dziś jako informator bio- i bibliograficzny o autorach łódzkich. Przedłużeniem tej pięknej tradycji przedwojennych polonistów są powojenne prace prof. S. Skwarczyńskiej o teatrze L. Schillera i W. Lipiecowej o teatrze Zelwerowicza. I to prawie wszystko.

A co robią inni nasi łódzcy poloniści i historycy literatury? Przede wszystkim chyba Łódź i ziemia łódzka jako żywe źródło kultury i literatury powinna ich obchodzić i obowiązywać. Powinna, ale oni śpią. Śpią tak lat dwadzieścia. Teraz się może obudzą, obrażeni! Ale jak powiedział Norwid: „Czy śpiącego można przebudzić g r z e c z n i e?... Nie można przeto z oczywistości jednej przerzucać nikogo w drugą sposobem g r z e c z n y m, i pewne brutalstwo nierozłącznym zdawa się być od roboty takowej". No więc, niech już będę tym niegrzecznym, a nawet brutalnym, byle nasi uczeni poloniści łódzcy się ocknęli.

Tym bardziej należy się Reymontowi pomnik i muzeum w Łodzi jako rekompensata za brak podstawowych rozpraw i monografii o jego życiu i twórczości ze strony łódzkich historyków literatury.

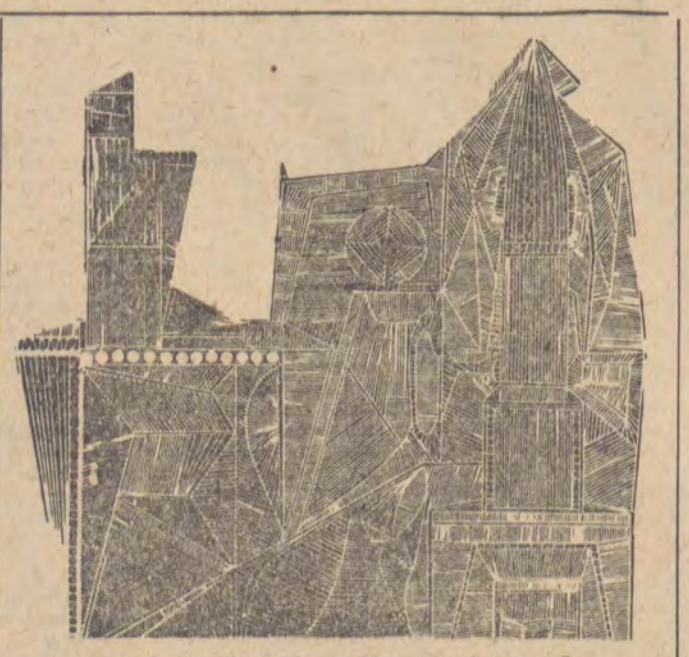

„Przed startem" — Henryk Płóciennik

RYSZARD MAŁECKI

WIOSNA na końcu ŚWIATA

Wieś nazywała się Mikołajów, ale stacja kolejowa Nikorsk. W pierwszych powojennych latach nie był to na Dolnym Śląsku jedyny przypadek, kiedy miejscowość nosiła zupełnie inną nazwę, niż jej stacja kolejowa.

Dlaczego tak się działo — nie wiadomo. Widocznie odnośne resorty nie mogły dojść do porozumienia i jeden nie chciał ustąpić drugiemu.

W rezultacie mieliśmy wówczas często na Ziemiach Zachodnich podwójną geografię nazw tych samych miejscowości, co bywało powodem wielu zabawnych, choć czasem także i mniej wesołych, pomyłek.

Do owego Nikorska dotarłem późną nocą po trzech dniach okropnej podróży z Łodzi. Było to w połowie marca 1946 roku.

Od Zawidowa, który był celem mej wyprawy, dzieliło mnie jeszcze 11 kilometrów, ale o tej porze nie było już w tym kierunku żadnej komunikacji. Pociągi nie dochodziły jeszcze tam w ogóle.

Uprzejmy zawiadowca pozwolił mi skorzystać z telefonu kolejowego. Mój przyjaciel, Jerzy, wyrwany w Zawidowie z głębokiego snu, nie mógł zrazu pojąć o co chodzi, a gdy już oprzytomniał, skłał mnie serdecznie i kazał czekać na samochód. Przyjechał po mnie o świcie.

O wielu miastach, miasteczkach, osadach, można powiedzieć, że leżą przy granicy, nad granicą, czy blisko granicy. Żadne z tych określeń nie pasowało do Zawidowa, który jest granicą po prostu przeciętą, a raczej „nadkrajany". Południowy skrawek miasteczka, leżący po drugiej stronie wąskiego kanału, to już czeskie Habartice. W sumie coś jakby miniatura Cieszyna.

Z okien biura Fabryki odległa o kilkadziesiąt metrów graniczna brama widoczna była jak na dłoni. Graniczny kanalik, a właściwie rów, biegł wzdłuż siatkowego ogrodzenia, otaczającego fabryczne podwórze. Między płotem i rowem ciągnęła się może metrowej szerokości ścieżka, przy której wkopany był graniczny kamień.

Owa, niemal fizycznie dotykalna, bliskość granicy, biegnącej równo z ogrodzeniem Fabryki, była z początku czymś fascynującym i niewiarygodnym. Dość szybko można było się z tym co prawda oswoić, co stwierdziłem po pewnym czasie.

Pierwszego jednak dnia, odwiedziwszy Jerzego w biurze, gapiłem się na biało-czerwone słupy i ozdobne zwieńczeni granicznej bramy z podziwem nowicjusza.

— Też cię tu przyniosło na sam koniec świata — westchnąłem.

Jerzy pisał coś zapamiętale w wielkiej księdze głównego magazynu, którego był szefem. Zawsze, gdy odwiedzałem go gdzieś w miejscu jakiejś pracy, lubił udawać bardzo zaaferowanego niesłychanie pilnymi i ważnymi sprawami. Dawał mi tym do zrozumienia, że rozmawiając ze mną, czyni duży wysiłek, aby pogodzić to z obowiązkami służbowymi.

Tym razem, usłyszawszy moje słowa, wstał gwałtownie zza biurka i wycelował we mnie pióro.

— Jakżeś ty powiedział? Powtórz no!... „Co u licha. Chce mnie przekłuć tym piórem? Co mu się stało?..."

— Mówię, że diabli cię przynieśli tu na koniec świata — powtórzyłem. — A mnie, jak zwykle, za tobą!...

Jerzy wyskoczył zza biurka i chwycił mnie w ramiona.

— Nareszcie! Nareszcie mamy tytuł!! — krzyknął radośnie waląc mnie po plecach.

— Jaki tytuł? Co ty bredzisz?...

— Tytuł, tytuł!!.. „Na końcu świata"!.. Doskonale! Ha, ha! Że też nikt z nas nie wpadł na taki prosty pomysł. A ty od razu... Oczywiście. Zawsze przecież miałeś do tego łeb... No, to już teraz nie wyjedziesz tak prędko z Zawidowa!..

Patrzyłem na mego przyjaciela z troską i obawą. Nie widziałem go dość długo, myślałem więc, że zbzikował.

Po pięcioletniej rozłące wojenno-okupacyjnej, spotkaliśmy się w 46 roku w wyzwolonej Łodzi. Nie zdążyliśmy jednak nacieszyć się sobą, bo Jerzy nieoczekiwanie zniknął znowu z Łodzi i po pewnym czasie zaczął do mnie pisywać tęskne listy z jakiegoś nieznanego Zawidowa. Bardzo prosił, abym do niego przyjechał.

W marcu 1946 roku znalazłem się na tzw. „bocznym torze". Porzuciłem właśnie dotychczasową pracę, nowej jeszcze nie miałem i prawdę mówiąc (można to powiedzieć po 20 latach) nie bardzo jej szukałem. Pewne okoliczności życiowe sprawiały, że było mi trochę „wszystko jedno".

Postanowiłem wówczas jechać do Jerzego, aby się nieco odprężyć i przewietrzyć. Wybierałem się na tydzień, najwyżej dwa tygodnie, wliczając w to podróż, której długość w czasie i przestrzeni nie była możliwa do wyliczenia. Nie wiedziałem gdzie w ogóle ten Zawidów leży, a tym bardziej czym i jak się tam jedzie. Ten „aspekt" podróży miał zresztą wiele pociągającego uroku.

W każdym razie nie zamierzałem zostawać tam dłużej, więc mnie mój przyjaciel swym wybuchem cokolwiek przestraszył. Tym bardziej, że nie wiedziałem o co mu właściwie chodzi.

Nie dał mi jednak dojść do słowa, tylko chwycił pod ramię i zadecydował:

— Idziemy do Janka!

— Powiem ci po drodze... No, chodźmy! Po drodze rzeczywiście wszystko się wyjaśniło. Ale o tym trzeba nieco szerzej...

Zawidów, maleńka graniczna mieścina, był wówczas — jak na swą wielkość — bardzo uprzemysłowiony. Największym zakładem była i jest chyba do dziś Fabryka Wyrobów Wełnianych. Oprócz niej czynne były także i inne fabryczki — maszyn rolniczych, odzieżowa i jeszcze jakieś, których branży nie pamiętam.

W „Wełnie" i w innych zakładach pracowali jeszcze w znacznej części Niemcy, ale kierownictwo i administrację stanowili oczywiście, Polacy, często siedzący tu już od wielu miesięcy.

Coraz więcej przybywało też polskich robotników, kierowanych głównie do „Wełnianki" przede wszystkim z Łodzi.

Pierwsza zima ujawniła dotkliwie brak rozrywek kulturalnych, choćby typu amatorskiego. Kiedy więc poczęły topnieć śniegi, w umysłach miejscowych społeczników, wśród których rej wodził mój przyjaciel Jerzy (zawsze lubił rej wodzić), zakiełkowała myśl o zorganizowaniu jakiegoś domorosłego teatrzyku. Na początek postanowiono zmontować coś z zakresu lekkiej muzy, co umownie nazwano rewią.

Pomysł był nie najgorszy i ogólnie chwycił, ale do czasu mego przyjazdu nie był jeszcze obleczony w żaden konkretny kształt. Zaczęto bowiem niefortunnie od „komina" i łamano sobie najpierw głowę tytułem przyszłego spektaklu, nie zastanawiając się jeszcze nad jego właściwą treścią.

Drugim, obok Jerzego najbardziej czynnym, organizatorem rewii był ów Janek, do którego właśnie szliśmy. Janek był jednym z wielu osiadłych w Zawidowie i okolicy byłych oficerów i żołnierzy II Armii Wojska Polskiego, która przed rokiem forsowała odległą o kilkanaście kilometrów od Zawidowa graniczną rzekę Nysę.

Jako osadnikowi wojskowemu przydzielono mu w Zawidowie piękne gospodarstwo ogrodnicze, które prowadził bardzo energicznie i fachowo. Jego zainteresowania nie były jednak, jak na ogrodnika, wcale „przyziemne".

Właściwe talenty i zamiłowania gospodarza zdradzało z miejsca wnętrze jego domu. Ściany mieszkania ozdobione były malowidłami ujawniającymi niemałe uzdolnienia ich twórcy. Malarstwo było jednak dlań tylko dodatkowym hobby. Janek myślał poważnie o karierze reżysera, dlatego też z ochotą podjął trud organizowania tej rewii. Nosił historyczne, królewskie nazwisko — Batory. No tak, tak, ten sam, znany obecnie reżyser filmowy, ale kto wówczas mógł coś takiego przypuszczać, z nim samym włącznie.

Pierwsza rozmowa w trójkę obnażyła wszystkie braki dotychczasowej koncepcji. Można powiedzieć, że koncepcja ta składała się właściwie z samych braków. Na razie był tytuł, który przypadkowo podsunąłem swym porównaniem u Jerzego w biurze. Obydwaj cieszyli się z tego, nie wiadomo czemu.

Rzuciłem jednak kilka pomysłów konkretnych i tym przypieczętowałem swój los. Zmusili mnie, abym objął kierownictwo „literackie" rewii, czyli praktycznie, abym zajął się właściwie wszystkim, co dotyczyć miało treści przedstawienia.

Janek miał reżyserować i zrobić dekorację, ale na razie nie było czego reżyserować i scenograficznie oprawiać.

Mój przyjaciel pełen był jednak krzepiącego optymizmu.

— No, to mamy już wszystko ustalone — stwierdził, gdy wyszliśmy od Janka. Zatarł z kontentacją dłonie. Jak to dobrze, żeś przyjechał... Najdalej za dwa miesiące wystawimy rewię!..

— Powiedzmy, że za trzy — poprawiłem ostrożnie. — Tylko... co ja tu poza tym będę robił przez ten czas?

Jerzy przystanął i spojrzał na mnie zdziwiony.

— Jak to co? Przyjechałeś tu chyba na dłużej?

— Raczej nie miałem tego zamiaru... A gdyby nawet, to co proponujesz?

— Stanowisko kierownika zaopatrzenia — odparł rzeczowo. Właśnie bardzo nam potrzebny. Nie mówiłem ci o tym?

— Niby kiedy?

— No, prawda. Wylegiwałeś się do południa. A później...

— A później gadaliśmy tylko o tej rewii.

— Tak, tak... No więc? Zgadzasz się!

Szliśmy właśnie przez rynek. Misterne kamieniczki złociły się w słońcu, zniżającym już swój bieg w stronę zachodu. Nie widziałem jeszcze tak ślicznego miasteczka. Byłem jak urzeczony i chyba pod wpływem tego uroku odpowiedziałem prawie bez namysłu: Zgadzam się!

— No to klawo — ucieszył się Jerzy. — Idziemy do dyrektora!

W taki oto sposób, nim zaszło słońce pierwszego dnia mego pobytu w Zawidowie, zostałem pracownikiem Fabryki Wyrobów Wełnianych i kierownikiem literackim amatorskiej rewii, której mimo wo li wymyśliłem tytuł — „Na końcu świata".

Wydarzenia te miały jeszcze tego samego dnia swe dalsze następstwa. Moją nową karierę należało odpowiednio uczcić, więc też uroczysty obiad, który z tej okazji wydał mój przyjaciel, przeciągnął się dość daleko poza kolację.

Nazajutrz, wprawdzie nie tak bardzo rano, poszedłem do Fabryki, aby zapoznać się z moimi obowiązkami. Niewiele brakowało, bym z nich zrezygnował. Okazało się bowiem, że w fabryce nie istnieje nic takiego, co nawet w przybliżeniu przypominałoby magazyn techniczny. Wszelkie materiały, narzędzia i surowce pomocnicze, składowane były beztrosko w poszczególnych oddziałach produkcyjnych i każdy mógł sobie z nich brać do woli, bez żadnego wyliczenia.

Musiałem więc zacząć — mimo niechęci dyrekcji do „nowinek" — od zorganizowania magazynu, do którego — nie bacząc na protesty kierowników i majstrów — ścią-

Dziesięć lat Wydawnictwa Łódzkiego

ROZMÓWA Z DYREKTOREM I NACZELNYM REDAKTOREM WŁ — ALEKSANDREM POSTOŁOWEM

Łódź — wbrew powszechnej opinii — ma tradycje wydawnicze. Nie takie, oczywiście, jak Warszawa, Kraków czy Poznań, miasta, w których profil kulturalny rzeźbiony jest od stuleci. Tradycje Łodzi są uboższe i, jeśli można użyć tego słowa: młodsze. Niemniej jednak, już w czasach carskich, a także w okresie międzywojennym, był cały szereg wydawnictw, że wymienię tylko Pawlaka Neu-Müllera i Wegnera.

Po Wydawnictwie Pawlaka został nawet ślad: dzisiejsza księgarenka przy ul. Narutowicza. Po Wegnerze nie został. A przynajmniej — nie w Łodzi: jeden z poważniejszych wydawców w Polsce, rozpoczynający karierę właśnie w naszym mieście — przeniósł potem swoje przedsiębiorstwo gdzie indziej.

Wegnera wspomniałem nie przypadkiem. Wegner, jego historia, jego kontakty z Łodzią, jego wreszcie „dezercja" — wszystko to jest odbiciem trudności, na które natrafiały łódzkie wydawnictwa, albo, ściślej, wydawcy, jako że były to przecież przedsiębiorstwa prywatne. Ich siew trafiał na ziemię trudną, jałową, i nie chciał się przyjąć — jak wszystko co sztuczne, bardziej wyspekulowane niż podyktowane koniecznością. Myślę, że dopełnieniem historii Wegnera może być łódzka, dramatyczna przygoda Zelwerowicza i jego ambitnego teatru. W obu wypadkach nastąpiła klęska. I trudno się dziwić: wielki, ekspansywny ośrodek przemysłowy, owa „Ziemia Obiecana" — miała swoją klasę robotniczą, która — wybaczcie ten slogan — goniła za chlebem; miała swoją klasę drobnomieszczańską, goniącą za sztuką mięsa z chrzanem; i miała jeszcze swoich potentatów — ci gonili za pieniędzmi... Za teatrem i książką goniło niewielu.

Inaczej kształtuje się sytuacja w Łodzi wyzwolonej, spełniającej w pierwszych latach po wojnie funkcje stolicy. Mało jest w Polsce pisarzy starszego i średniego pokolenia, którzy by w owym czasie nie otarli się o nasze miasto.

Po kilku latach Łódź przestała pełnić funkcje stolicy. Nastąpił odpływ pisarzy i instytucji stołecznych. Polska Ludowa dała jednak miastu wielką szansę. Powstają wyższe uczelnie, instytucje kulturalne; wielu pisarzy zadomowiło się w Łodzi; w tej sprzyjającej atmosferze narodzili się pisarze rdzennie łódzcy, związani z miastem na stałe. Tworzyło się to, co nazywamy środowiskiem; a obok środowiska literatów — krzepły inne środowiska: kulturalne, artystyczne i naukowe. W ten sposób powołanie do życia Wydawnictwa Łódzkiego stało się nakazem chwili, logicznym następstwem pewnych kulturowych przemian.

WŁ powstało w 1957 roku, w ramach Spółdzielni Wydawniczej, z inicjatywy Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Całkowita samodzielność otrzymaliśmy w 1959 roku, stając się Przedsiębiorstwem Państwowym. Rozwój naszego wydawnictwa (naturalnie: związany i uzależniony od ogólnego rozwoju miasta, a przede wszystkim, od rozwoju środowisk twórczych) najlepiej obrazują liczby:

W roku 1957 wydaliśmy zaledwie 5 pozycji. W 1958 — 23. W 1959 — 30.

Lata 1960—1963 przynosiły po 33 pozycje rocznie.

W 1964 roku nastąpił dalszy wzrost — 37 pozycji.

W 1965 — 41 pozycji (510 arkuszy wydawniczych), a w ubiegłym, 1966 roku, 47 pozycji (527 arkuszy wydawniczych).

Rangi wydawnictwa nie tworzą, rzecz jasna, postępy ilościowe. To byłoby śmieszne. Ale pośród tych suchych, niewiele mówiących cyfr, znajduje się przecież cały szereg dobrych książek — powieści, opowiadań, monografii, zbiorów poetyckich, reportaży... Cały szereg udanych, ba — nawet bardzo udanych debiutów. — Przecież właśnie w Wydawnictwie Łódzkim rozpoczęli karierę prozatorskie: Brycht, Minkowski, Kabate, Gomolicki, Timofiejew, Kasprowicz, Jażdżyński, Waleńczyk, Czarny, Sztajnert i wielu innych. Tu zadebiutował głośny obecnie poeta — Jarosław Marek Rymkiewicz. Nie sposób wymienić wszystkich — tych, co debiutowali i tych, którzy zaczęli z nami współpracować posiadając już ustaloną markę. Jedno jest pewne — wszyscy oni, mając pod ręką swoje wydawnictwo, mogli na trwałe związać się z miastem i tworzyć z roku na rok literackie oblicze Łodzi.

Właśnie. Oblicze. Jakie jest oblicze Wydawnictwa Łódzkiego? Jaka jest jego specjalizacja? Wiadomo przecież, że są wydawnictwa, w których dominante stanowi edycja klasyków albo literatury młodzieżowej, albo kryminalno-sensacyjnej, albo wiejskiej, albo marynistycznej, albo katolicyzującej, itd. Każde wydawnictwo ma sobie właściwe oblicze. Co z Łódzkim?

Nasze oblicze rysowało się powoli. Rysuje się w dalszym ciągu. Ale dziś — można już powiedzieć, co jest nasza specjalnością. — Współczesność. Współczesna proza. Współczesna powieść z problemami wielkiego miasta. Sama Łódź zresztą, to obszar mało znany, specyficzny, stanowiący wiele białych, nie odkrytych kart polskiej literatury, kart, które domagają się zapisania.

Nie znaczy to, abyśmy ograniczali się wyłącznie do wydawania współczesnych powieści. Jest miejsce na poezję, na wszelkie gatunki literatury pięknej, na prace z zakresu nauki. Staramy się inspirować naukowców problematyką Łodzi i regionu, i pod tym względem jesteśmy wydawnictwem regionalnym. Historia Łodzi, jednego z nielicznych w dawnej Kongresówce ośrodków przemysłowych, z jej dynamiczną klasą robotniczą — była dotychczas mało znana. Staraliśmy się uzupełnić lukę, wzbogacając bibliografię naszego miasta szeregiem wspomnień, opracowań popularno-naukowych i naukowych. Dużo jest jeszcze przed nami, choćby mało ruszona dotychczas problematyka socjologiczna, historia teatrów łódzkich, muzyki. A przecież i tu są ciekawe tradycje i niemniej ciekawa problematyka dnia dzisiejszego. Trudno i w tym wypadku mówić o wąskoprofilowym regionalizmie. Łódź to przecież wielki, mało jeszcze zapisany rozdział w dziejach naszego narodu.

Regionalizm nasz nie dotyczy jednak powieści. Zaangażowanej, sięgającej do najbardziej złożonych form współczesności. To stanowi o naszym obliczu, o naszej pozycji wśród innych polskich wydawnictw.

Rozmawiał: A. M.

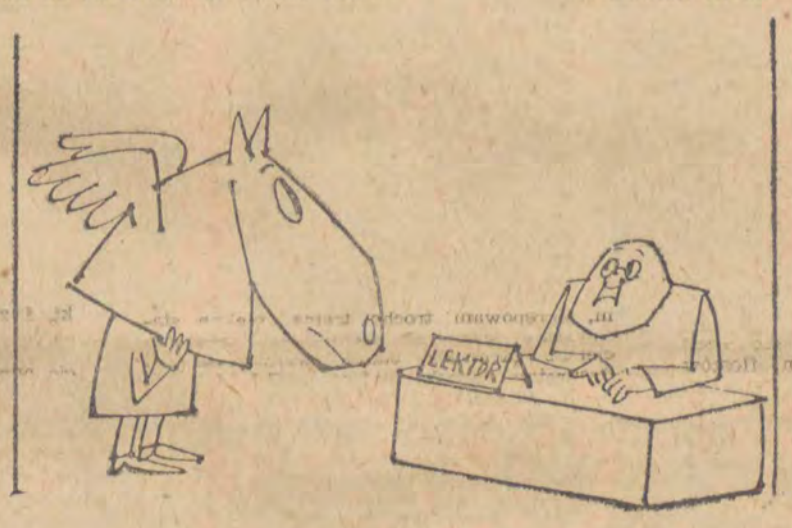

100 mln. egzemplarzy

O „KARUZELI" MÓWI NACZELNY REDAKTOR — WOJCIECH DRYGAS

W styczniu 1957 roku ukazała się w ilości 30 tys. egzemplarzy skromna jednodniówka humorystyczna, wydana z okazji wyborów do Sejmu i Rad Narodowych. Nakład rozszedł się błyskawicznie. Było to dowodem, że istnieje zapotrzebowanie społeczne na tego typu czasopismo. Wyszły więc następne numery „Karuzeli", i w niedługim czasie zaistniała konieczność — ze względu na stale rosnący popyt — podniesienia „Karuzeli" do rangi pisma ogólnopolskiego.

Uwzględniając życzenia naszych czytelników, postanowiliśmy zmienić nieco profil „Karuzeli" z pisma humorystycznego, na satyryczno-humorystyczne, wychodząc z założenia, że czytelnicy nie uciekają przed trudnymi tematami, wprost przeciwnie: oczekują ich od nas, ale w prostej, komunikatywnej formie podanych...

Obecnie, w dziesięć lat od chwili powstania, „Karuzela" ma 420 tys. nakładu, przy czym zwroty są minimalne (0,002 proc.). Czyta nas najchętniej młodzież. Z miast: najlepiej „rozchodzimy się" w Katowicach, potem w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku i Łodzi. Czytają nas we wszystkich środowiskach i wśród 76 stałych współpracowników mamy reprezentantów wszelkich środowisk. Jednym z nich jest felietonista Wiesław Trzaskalski — kierowca z Pogotowia Ratunkowego, innym rolnik z Kanady — Kazimierz Moneta.

Z głośnych obecnie w całym kraju nazwisk, chciałbym wymienić debiutujących przed laty w „Karuzeli": Jerzego Afanasjewa, Leszka Marutę — pisarzy, oraz Kazimierza Mozolewskiego i Andrzeja Waleckiego — rysowników.

Z okazji dziesięciolecia odbędzie się w Warszawie (KMPiK przy Nowym Świecie) wystawa rysunku satyrycznego, która w generalnym skrócie pokaże naszą drogę od jednodniówki do dzisiejszej „Karuzeli". Wystawa ta „objedzie" wszystkie większe miasta w Polsce, będzie więc także w Łodzi.

Na zakończenie — chciałbym przedstawić nasz skład redakcyjny; zastępcę redaktora naczelnego — Marię Lorberową, sekretarza redakcji — Adama Ochockiego, kierownika graficznego — Karola Baranieckiego oraz Ibisa Stanisława Gratkowskiego — drugiego grafika. Nazwisk naszych wszystkich współpracowników wymienić niepodobna, zarówno jednak oni jak my zrobimy wszystko, aby w dalszym ciągu podnosić poziom pisma. Na konkurs-ankietę „Karuzeli": „Kim jestem, co lubię?" wpłynęło już ponad 20 tys. odpowiedzi. Ogółem tych listów zajmie się socjolog. W ten sposób jeszcze dokładniej poznamy gusty naszego czytelnika i, jeśli to będzie konieczne, dokonamy zmian w sposobie układu materiałów i rysunków tak, aby pismo jeszcze lepiej służyło interesom społeczeństwa.

nałem wszystkie materiały techniczne, poniewierające się na oddziałach. Zaprowadziłem w obrocie tymi artykułami nowy ład po to, aby mieć nad tym obrotem kontrolę i co najważniejsze, aby księgowość miała podstawy do właściwego obliczania kosztów własnych. No i — mówiąc szczerze — aby także zmniejszyć pokusę, rodzącą się nawet mimo woli u ludzi na widok leżących tuż pod ręką, cennych często artykułów.

Przydały się doświadczenia kilku lat pracy w magazynie technicznym jednej z łódzkich fabryk. Pracowałem w niej w czasie okupacji i — już co prawda nie jako magazynier — w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu Łodzi. Jako syn włókniarza byłem też od dziecka otrzaskany z zakładem włókienniczym, ale w Zawidowie zetknąłem się po raz pierwszy z produkcją tkanin wełnianych.

Stwierdziłem także z niemałym zdziwieniem, że ta niewielka fabryka (na łódzkie stosunki nawet zaledwie fabryczka) produkowała przed wojną znakomite tkaniny, eksportowane do wszystkich niemal, nawet najbardziej egzotycznych krajów świata. Ślady tej ekspansji znalazłem w starych segregatorach z korespondencją handlową.

W czasie wojny jednak fabryka przystosowana została w połowie do produkcji jakichś materiałów wojennych, co podcięło mocno korzenie jej świetności.

Dopiero po objęciu zakładów przez władze polskie, zaczęła się stopniowa odbudowa jej dawnego, produkcyjnego potencjału, równocześnie z bieżącą produkcją w oddziałach nie objętych hitlerowską „reorganizacją".

Polska załoga Fabryki zwiększała się niemal z każdym dniem, w sumie jednak, gdym zaczął tam pracować, nie była zbyt wielka i wszyscy właściwie się znali. Ta, niejako rodzinna, atmosfera pracy sprzyjała też na pewno jej dobrym wynikom. Była zaś owa atmosfera podświadoma może, ale niewątpliwa potrzeba duchowa tej grupy ludzi, rzuconych daleko od swej „starej Ojczyzny" i nie czujących się jeszcze w nowym miejscu, jak u siebie w domu.

Dla umocnienia tego poczucia nie mogły wystarczyć same tylko bodźce materialne. Potrzebne były jeszcze inne środki oddziaływania i w świetle takich właśnie potrzeb widziałem sens i kierunek naszych amatorsko-artystycznych poczynań. Chciałem, aby przygotowana przez nas rewia teatralna, była w swej treści niejako syntezą zjawisk tamtego czasu i przybliżonym choćby obrazem życia zawidowskich pionierów.

Sądzę, że przynajmniej częściowo nam się to udało.

Gdyby chcieć zilustrować wszystkie nasze perypetie, związane z przygotowaniem spektaklu, powstałaby na pewno spora książka. Najwytrwalszym nieraz opadały ręce, tyle po drodze piętrzyło się przeszkód i kłopotów. Były nawet przypadki celowego utrudniania nam roboty, do dziś nie wiem, z jakich wynikające przesłanek. Ale nie warto tego wspominać. Nigdy i nigdzie nie brakło przecież ludzi małych, zawistnych i głupich.

Przygotowania do rewii trwały cała wiosnę. Jakże różna była ta wiosna od wielu swych poprzedniczek, nawet od przeszłorocznej wiosny roku czterdziestego piątego, niosącej wolność, zwycięstwo i bliski już pokój lecz pełnej jeszcze wojennego zgiełku, krwi i cierpienia.

Wiosna roku 1946 była już w pełni wiosną pokoju i odbudowy. Tak ja przynajmniej odczuwaliśmy tam, w najdalszym południowo-zachodnim zakątku nowej Rzeczypospolitej.

Groźne pomruki świeżych konfliktów politycznych na świecie, tragiczne odgłosy wojny domowej, toczonej w kraju przez reakcję, dochodziły do nas z oddali i nie zdołały zamącić spokojnego rytmu pracy i życia w naszym miasteczku.

Rozkwitająca w południowym słońcu przyroda tego pięknego skrawka Ziemi Łużyckiej pysznił się bogactwem barw, zapachów i kształtów.

Życie towarzyskie traciło coraz bardziej swój zbiorowy charakter i ulegało „atomizacji" na grupki najczęściej dwuosobowe, zajęte wyłącznie sobą.

Wiosna nie sprzyjała wyraźnie naszej pracy nad rewią i nawet najwięksi jej entuzjaści musieli zdobywać się na wielki hart ducha, aby nie ulec urokom najpiękniejszej pory roku i nie zaniechać wysiłków organizacyjnych i nie kończących się prób scenicznych. Wiosna wzbogaciła tytuł rewii swym imieniem i ostatecznie brzmiał on w pełni na drukowanych pięknie zaproszeniach (tak, tak! mieliśmy w Zawidowie nawet własną miejską drukarnię) dość tajemniczo i poetycznie — „Wiosna na końcu świata".

Do celu dobiliśmy szczęśliwie jednak dopiero u progu lata. Owego czerwcowego wieczoru, kiedy odbyło się przedstawienie, organizatorzy i wykonawcy rewii byli u szczytu nerwowego napięcia.

Żaden chyba dyrektor prawdziwego teatru i żaden zawodowy aktor nie przeżywał bodajże przed swą pierwszą premierą tyle co my.

Gdyby ojciec teatru polskiego, Wojciech Bogusławski, mógł nas wówczas oglądać, pokiwałby na pewno głową z rozrzewnieniem, bo przypomnielibyśmy mu jego własne dzieje. Śmiałe porównanie, ale trochę podobieństwa było.

W pracy nad rewią skupiliśmy spora gromadę ludzi, ze środowiska miejscowej „śmietanki" i spośród pracowników naszej Fabryki. Główny jednak ciężar wszystkich obowiązków spadł na nas trzech, a w szczególności (bez samochwalstwa!) na mnie.

Jerzy zajmował się organizacyjną stroną całej imprezy, a jako aktor prowadził częściowo konferansjerkę, śpiewał ze mną, z Jankiem i jeszcze jednym kolegą w czteroosobowym chórze rewellersów i wreszcie wystąpił w swym popisowym numerze, słynnym orwidowskim monologu „Piłowanie drzewa na Huculszczyźnie".

Janek wymalował świetne dekoracje, wziął na siebie role reżysera, a także inspicjenta i oprócz udziału w chórze grał ze mną w skeczu mego pióra pt. „Pielgrzym, czy szabrownik?"

Poza autorstwem i występem w skeczu, prowadziłem na zmianę z Jerzym konferansjerkę, śpiewałem w chórze i napisałem tekst „Piosenki o mym Zawidowie". Śpiewała ją, na melodię niezwykle wówczas popularnej „Piosenki o mej Warszawie", żona dyrektora jednej z zawidowskich fabryczek.

Poszczególne punkty programu łączone były występami kilkuosobowego zespołu muzycznego. No i jakoś wszystko poszło, aż do ostatniego numeru. Był on w programie zapowiedziany znakiem zapytania i miał stanowić niespodziankę. Wiedziało o niej tylko kilka osób, a ja miałem też w tym swój przewidziany udział.

Widzowie wypełniający do ostatniego miejsca dużą salę siedzieli oczywiście do wejścia plecami i w oczekiwaniu na ciąg dalszy słuchali wiązanki melodii ludowych.

W odpowiednim momencie stanąłem od niechcenia przy drzwiach wejściowych, przez które po chwili usiłował wtargnąć na salę pijany osobnik. Był to Jaś Bafory, doskonale ucharakteryzowany i przebrany. Usiłowałem mu niby w tym przeszkodzić i trzymałem go za rękaw ale tak, aby mógł stopniowo wdzierać się na salę w przejściu między krzesłami.

Zaskoczeni widzowie, słysząc rzekoma awanturę, odwracali się w krzesłach nie wiedząc o co chodzi. Wówczas ze swego miejsca poderwał się komendant miejscowej placówki WOP i usiłował mi pomóc w wyrzuceniu „pijanego". Niewiele brakowało, by popsuł nam cały numer.

W trakcie szamotania zasłoniłem Janka, który uciekł przed scenę i przy akompaniamencie orkiestry zaczął tańczyć świetnego stepa. Ale porucznik rwał się dalej do „awanturnika". Szeptałem mu na ucho, że to punkt programu, dopiero jednak po dłuższej chwili pojął w czym rzecz i wrócił zły na miejsce. Długo po tym nie mógł nam darować, że nie uprzedziliśmy go o niespodziance i naraziliśmy na śmiech publiczności.

Po rewii odbyła się zabawa taneczna, w której uczestniczyli wszyscy widzowie i „artyści". W czasie zabawy powtarzaliśmy niektóre występy, improwizowaliśmy też nowe, ale już nie na scenie, tylko przy biesiadnych stołach.

Ryzykowna byłaby dziś próba oceny poziomu naszej rewii. My sami byliśmy zresztą wówczas dość samokrytyczni i nie usiłowaliśmy udawać artystów. Nie o to przecież chodziło choć staraliśmy się, aby wszystko wypadło jak najlepiej, aby widzowie dobrze się bawili i coś z tego wynieśli. Ba, ale co?

Sądzę, że przyczyniliśmy się nieco do rozbudzenia u ówczesnych mieszkańców Zawidowa, a zwłaszcza robotników naszej Fabryki i innych zakładów, potrzeby rozrywek kulturalnych, może niewielkiej wartości, ale zawsze lepszych od knajpy i kieliszka.

Kiedy przy jakiejś okazji wspominamy sobie z Jerzym stare dzieje, popadamy w zadumę i żaden nie chce przyznać, że odczuwa coś w rodzaju tęsknoty i niedorzeczną chęć powrotu, nie tyle może do tego miasteczka, ile do tamtych czasów. Śmieszne, prawda? Dla nas to nie śmieszne, a nawet całkiem zrozumiałe. Byliśmy przecież wówczas młodsi o całe dwadzieścia lat!

Czasem też korci mnie myśl, aby namówić Janka Batorego do nakręcenia filmu o naszym miasteczku i o tamtych czasach. Co by miało być treścią tego filmu, nie bardzo jeszcze wiem. Ale na pewno Jaś by coś wymyślił. Dobrych pomysłów nigdy mu nie brakło. Już wówczas... A co dopiero dziś?

---

*) Utwór odznaczony II nagrodą (I nie przyznano) na konkursie pn. „W moim zakładzie", rozpisanym przez Związek Zawodowy Włókniarzy w Łodzi.

EWA SIEMIŃSKA

LABORATORIA KULTURY FILMOWEJ

„W ostatnich latach, choć mówimy o sztuce filmowej, istnieją równocześnie co najmniej dwie sztuki filmowe. Filmy autorskie nie są zjawiskiem sporadycznym, ani odosobnionym, powstał natomiast rodzaj międzynarodowej instytucji propagującej je w kinach zwanych kinami „dobrych filmów" film Ingmara Bergmana znajduje na przykład widzów w Nowym Jorku, Buenos Aires, Mediolanie i Paryżu",

EDGAR MORIN

Bergman, Fellini, Antonioni, francuska „nowa fala" czy angielscy „gniewni". słowem — twórczość filmowa ambitna i trudna zarazem, znajdowała i znajduje swych odbiorców także i w Polsce. Działają i u nas owe kina „dobrych filmów", o których mówi Morin, lecz nosza nazwe kin studyjnych. Ta zmiana nazwy nie jest bez znaczenia, gdyż stanowi wyraz przyjęcia pewnej określonej polityki repertuarowej. Filmy prezentowane w polskich kinach studyjnych nie zawsze moga sie wylegitymować wartościami artystycznymi najwyższej klasy. O wyborze tytułów decyduja bowiem także wartości poznawcze lub dyskusyjność problematyki. W ten sposób polski model owych wybranych kin zajmujacych sie popularyzacja trudniejszych w odbiorze dzieł kinematografii, przeciwstawia sie już u swych podstaw morinowskiemu podziałowi filmu na „co najmniej dwie sztuki", zależnie od wartości. Bo też jest to rozróżnienie schematyczne i doktrynerskie. Jakkolwiek mówi sie o filmach typu A i B., jako bardziej ambitnych i łatwiejszych, przeznaczonych dla ludzi o wyrobionym smaku i dla szerokich rzesz odbiorców, to nieporozumieniem jest traktowanie wielkiego filmu widowiskowego i filmu autorskiego na zasadzie dwóch sztuk filmowych. Sa to po prostu dwa wielkie nurty tej samej sztuki. Pochopne twierdzenie, że jeden z nich jest gorszy, a drugi lepszy, pozbawione jest racji bytu. Każdy z nich bowiem odmiennym służy celom i w inny sobie właściwy sposób zdobywać może stopień doskonałości. Bywają filmy autorskie ambitne, lecz bardzo nieudane, a równocześnie filmy rozrywkowe lekkie, błahe lecz znakomite. Łódzkie kino studyjne „Stylowy" nie boi sie tych ostatnich, posiadało np. w swym repertuarze cykle takie jak „Hollywoodzki mit o Kopciuszku" (wrzesień 1966), czy „Western" (lipiec 1966 r.). Cykle te stanowia dowód trzeźwego spojrzenia na sprawy kultury filmowej, dalekiego od niepotrzebnego snobizmu. Zadaniem kin studyjnych jest bowiem nie tylko działalność popularyzatorska, lecz także wyrabianie wrażliwości, smaku widza oraz pomoc w zdobyciu przez niego możliwie jak najszerszej orientacji w zjawiskach filmowych. Niechże wiec nasza publiczność ma okazje do wysłuchiwania słuszących tym celom prelekcji przed filmami różnego typu. Niech nie kształci sie jednostronnie.

Kino „Stylowy", to jedno z dwóch działajacych w Łodzi kin studyjnych. Drugim jest istniejace od 1963 r. studenckie kino studyjne „Studio". „Stylowy" ma bogatą historie i nie byle jakie sukcesy. I nie zawsze było „Stylowym". Kierowane przez mgr Janusza Bujacza kino studyjne dwukrotnie zmieniało lokal. Najpierw była to „Adria" (od 15 lutego 1959 r.), potem „Gdynia" (od 1 stycznia 1960 r.), i wreszcie od 1 lutego 1964 r. — „Stylowy". Jest to zarazem pierwsze kino studyjne, jakie powstało na terenie Polski dzięki inicjatywie, uporowi i troskliwej opiece dyrektora Miejskiego Zarzadu Kin w Łodzi — Bronisława Kuleszy. Warszawa z Poznaniem zajmują dopiero drugie miejsce — palma pierwszeństwa należy do Łodzi.

Oprócz kin studyjnych, istnieja także w Polsce tzw. dni studyjne. Impreza ta polega na tym, że pewne kina w określone dni tygodnia prowadza działalność kin studyjnych. I znowu teren łódzki może poszczycić sie dobrymi rezultatami, rzutkością i sprawnością organizacyjna. Program studyjny wyświetlany jest w Pabianicach i Piotrkowie przez trzy dni każdego tygodnia oraz w Sieradzu przez dwa dni. Filmy łaczone sa w cykle tematyczne, rodzajowe, reżyserskie i aktorskie. Poprzedzają je specjalne prelekcje — żywe lub z taśmy magnetofonowej, a czasem łączy się je ze spotkaniami z ludźmi filmu. Akcja kin studyjnych w województwie kieruje z oddaniem mgr Wanda Mirowska.

Działalność kina studyjnego „Stylowy" jest wielotorowa, bardzo urozmaicona. Największa część programu stanowia cykle filmowe. Praktyka wykazała, że publiczność nie wytrzymuje zestawów zbyt długich. Obecnie ograniczają się więc do mniej więcej czterech tytułów. Naczelna idea „Stylowego" jest pokazanie publiczności najbardziej wartościowych filmów:

- **starych i nowych;**
- **z fabuły i dokumentu;**
- **z długiego i krótkiego metrażu.**

Tak więc obok cykli obejmujących filmy z okresu kilku ostatnich lat i zestawów archiwalnych, na ekran kina studyjnego wchodzą **filmy najnowsze.** Są to comiesięczne pokazy premier studyjnych oraz impreza pod nazwą „Film miesiąca" — prezentacja najciekawszego filmu, jaki weidzie na ekrany kin premierowych. Ciekawą imprezą jest także prezentacja premier miesiąca, która odbywa się zawsze w pierwszą niedzielę. W ażę ona akcje „Stylowego" z całokształtem działalności kin łódzkich, sprawia, że kino studyjne nie jest odizolowana wyspą, zapominająca o reszcie świata. Prezentacja premier miesiąca cieszy się olbrzymia popularnością. Spodobał się widać naszej publiczności pomysł oglądania fragmentów filmów (około 10 minut projekcji do jednej premiery) po wysłuchaniu informacji o dziele i krótkiej ocenie jego wartości. **Dzięki tej imprezie widz orientuje się w charakterze nowości ekranowych i świadomie może wybierać filmy, które zechce obejrzeć w kinach premierowych.**

Pierwsza niedziela miesiąca to także prezentacja nowości krótkiego metrażu oraz pokaz zestawu „Polskich Kronik Filmowych" z ostatniego miesiąca. Bardzo ważną pozycja programu „Stylowego" są wreszcie dni dokumentu, które mają przyzwyczaić widza do tego mniej popularnego rodzaju filmów, a przecież najbardziej wartościowego pod względem poznawczym. Działalność popularyzatorska i informacyjna naszego kina studyjnego, to obok prelekcji i odczytów wydawanie co miesiąc „Programu" rozdawanego bezpłatnie publiczności oraz stała ekspozycja fotosów i plakatów na zewnątrz i wewnątrz kina.

Działalność studyjna „Stylowego", to kawał dobrej, solidnej roboty na rzecz kultury filmowej. Kto jest głównym autorem tych osiągnięć? Doc. dr Bolesław Lewicki odpowiada na to pytanie: „Cała tajemnica kina studyjnego, to człowiek, który nim kieruje. Podobnie jak z teatrem: jeśli dyrektor dobry, to i teatr jest dobry. Osobowości, ludzie, a nie okólniki gwarantuja kino". Obyśmy mieli jak najwięcej takich ludzi w naszych kinach, jak mgr Janusz Bujacz. Oby Koordynacyjna Rada Artystyczna Kin Studyjnych mogła bez przeszkód rozwijać swa działalność. Kilkanaście kin studyjnych, to jeszcze przysłowiowa kropla w morzu. Można tu mówić o eksperymencie, a nie szeroko zakrojonej akcji.

Jednym z inicjatorów całej akcji w skali ogólnopolskiej, a zarazem jednym z najbardziej czynnych, oddanych i zasłużonych działaczy jest właśnie doc. dr Bolesław Lewicki. To nie przypadek. Docent Lewicki — to wychowawca filmowy na wielka skalę: wykładowca, a przez kilka lat dziekan Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, od 1958 roku kierownik Zakładu Wiedzy o Filmie Uniwersytetu Łódzkiego, od początku jej istnienia — przewodniczący Koordynacyjnej Rady Artystycznej Kin Studyjnych. Kształci ludzi filmu naukowców, przyszłych nauczycieli i działaczy filmowych. Połączone wysiłki tych ludzi zadecydują o tym, jaką będzie w przyszłości nasza kultura filmowa.

Jednym z ciekawych filmów był także „Dowcipniś" de Broki

Telewizji łódzkiej historia naturalna

W związku z dziesięcioleciem Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego zwróciliśmy się do redaktora naczelnego Edwarda Szustra z prośbą o okolicznościowy wywiad. Materiały z tej rozmowy publikujemy dziś poprzedzając je serdecznymi gratulacjami i życzeniami równie owocnego, następnego dziesięciolecia.

„ODGŁOSY": Panie Redaktorze niezależnie od tego czy lubi Pan czy też nie historie, prosimy bardzo o przypomnienie, jakie były początki...

E. SZUSTER: To były czasy „radosnej twórczości" Zabrzmi to może jak bajka, ale tak się sprawy miały rzeczywiście. Żadnych reguł, żadnych doświadczeń. Wiedzieliśmy tylko, że musimy trzy razy w tygodniu coś puścić na antenę. Puszczaliśmy filmy, bo nie było jeszcze żadnych ograniczeń ze strony CWF, a poza tym niczym więcej nie dysponowaliśmy. Cały ośrodek mieścił się w pomieszczeniu stanowiacym równowartość 2 pokojów z kuchnia.

„ODGŁOSY": Nie chce pan przecież przez to powiedzieć, że poprzestaliście wyłącznie na filmach?

E. SZUSTER: Ależ oczywiście, bohatersko chwytaliśmy się zadań, których dzisiaj, w podobnych warunkach pewnie byśmy się już nie podjęli. Obok filmów nadawaliśmy informacje, wywiady, scenki... Pamiętam, że jeden z pierwszych wywiadów robił reż. Kuźmiński; w końcu 1956 r. wyszliśmy na antenę spektaklem teatru telewizyjnego. Ogromny kłopot sprawiło nam dostosowanie stawek honorarjalnych radiowych do nowych, telewizyjnych warunków. W kosztorysie audycji radiowej nie ma przecież kosztów zaprojektowania i wykonania dekoracji.

„ODGŁOSY": Jak sobie przypominam teatr telewizyjny stał się następnie specjalnością Łodzi, która nierzadko dawała i wciąż daje przykład rzetelnej roboty w tej dziedzinie. Jak Pan z perspektywy czasu ocenia choćby tak ważną instytucję, jak Teatr Popularny Telewizji Łódzkiej?

E. SZUSTER: Teatrem małych form zajmowaliśmy się od początku, a w r. 1959, wystartował w programie ogólnopolskim Łódzki Teatr Popularny. Jego sukces zawdzięczaliśmy w dużej mierze indywidualności twórczej Jerzego Antczaka, który jak wiadomo jest dzisiaj naczelnym reżyserem telewizji. W ciągu trzech kolejnych lat Teatr Popularny zdobył sobie w najszerszych kręgach odbiorców rzeczywistą i ogromna popularność. Zadecydował o tym i repertuar i walory inscenizacyjne tamtych spektakli. Warszawa w tym czasie reprezentowała w teatrze TV nieco bardziej elitarne tendencje, co nie zawsze odpowiadało potrzebom masowej widowni. Później różnice te zatarły się, gdyż Warszawa częściowo przeszła na zajmowane dotąd wyłącznie tylko przez nas pozycje.

„ODGŁOSY": Tradycje tamtego teatru nie pozostały chyba bez wpływu na to, co dziś robicie?

E. SZUSTER: Zostało nam z tamtych lat przede wszystkim przyzwyczajenie do bardzo starannej pracy, do rzetelnego warsztatu realizatorskiego. Mimo że mamy niezbyt wiele czasu na przygotowanie poszczególnych spektakli. W ubiegłym roku, na przykład Łódzki Teatr Telewizyjny pokazywał się na antenie raz w miesiącu.

„ODGŁOSY": W jaki sposób zabezpieczyliście sobie możliwość wykonania tak dużej ilości spektakli? O ile się orientuję telewizja nie dysponuje etatami dla aktorów.

E. SZUSTER: Zawdzięczamy to niezwykle dobrym stosunkom z łódzkim środowiskiem aktorskim, ściślej zaś z teatralnym. Stosunki te ukształtowały się w ten sposób już od pierwszych dni naszego istnienia. Często teatry idą nam tak dalece na rękę, że zmieniają repertuar, aby umożliwić aktorom udział w próbach.

„ODGŁOSY": Czy równie dobrze ułożył się zdaniem Pana stosunki telewizji także z innymi środowiskami twórczymi w Łodzi?

E. SZUSTER: Jest to problem dość złożony. Stosunki, o których mowa uzależnione są przecież od naszej sytuacji programowej i produkcyjnej. I nie zawsze mamy możliwość podtrzymywania kontaktów z twórcami, co jest zapewne ze szkoda i dla nas i dla nich. Korzystamy w dosyć szerokim zakresie ze współpracy muzyków-wykonawców, w mniejszym już ze współpracy kompozytorów. Znalazło się u nas miejsce dla plastyków wyspecjalizowanych w dziedzinie scenografii. Jeśli zaś chodzi o środowisko literackie, to dopiero ostatnio nawiązaliśmy szersze kontakty. Stało się to tak późno przede wszystkim dlatego, że dopiero ostatnio możemy sami zawierać umowy. Bardzo nam zależy na tekstach oryginalnych, pisanych specjalnie dla telewizji, współpraca ze środowiskiem literackim ma więc poważne szanse rozwoju.

„ODGŁOSY": Jak Pan w związku z tym ocenia waszą, że się tak wyraże moc produkcyjną od której uzależniony jest dalszy rozwój współpracy twórców łódzkich z ośrodkiem telewizyjnym?

E. SZUSTER: W r. 1958 dokonana została przeprowadzka naszego ośrodka z XIV piętra wieżowca do obecnego pomieszczenia. Byliśmy wtedy najnowoczesniejszym i bodaj największym studiem w Polsce. Od tego czasu u nas niewiele się zmieniło, u innych zaś wiele. Sytuacja ta oznacza zahamowanie rozwoju bazy techniczno-produkcyjnej. Nie mamy na przykład, zaplecza warsztatowego. Większość prac związanych z przygotowaniem dekoracji wykonywana jest u nas w studio. Nie mamy wozu transmisyjnego, co ogranicza nasze możliwości w dziedzinie publicystyki telewizyjnej, nie mamy kamery do zdjęć stuprocentowych. Około 110 godzin rocznie udziału naszego w programie ogólnopolskim i około 70 godzin programu lokalnego, to w zasadzie górny pułap naszych możliwości techniczno-produkcyjnych. (Mówię o programie żywym, realizowanym bezpośrednio w studio). Niemniej w bieżącym roku wzrośnie nasz udział w programie ogólnopolskim w zakresie audycji artystycznych. Będą to spektakle w cyklu Teatru Niedzielnego telewizji.

„ODGŁOSY": A jak rysują się perspektywy rozwoju waszej bazy techniczno-produkcyjnej, od której tyle zależy?

E. SZUSTER: Liczymy się z tym, że w związku z uruchomieniem nowego studia w Katowicach i Krakowie procentowy udział Łodzi w programie ogólnopolskim proporcjonalnie może zmaleć. My, jak to już mówiłem, jesteśmy u pułapu możliwości produkcyjnych. Ale posiadamy mimo wszystko interesujące perspektywy, które w ciągu najbliższych 2—3 lat pozwolą nam rozwiązać najbardziej kłopotliwe sprawy. Wszystko wskazuje na to, że znajdziemy zrozumienie i poparcie w kwestii aktualnie najważniejszej — dodatkowych pomieszczeń w wieżowcu. Mamy też realne perspektywy uzyskania wozu transmisyjnego i to już w r. 1968. Proszę też nie zapominać, że niedługo zostanie uruchomiony drugi program telewizyjny. Stworzy to dodatkowe szanse rozwoju dla wszystkich ośrodków, a więc także dla Łodzi. Zwłaszcza, gdy uzyskamy nowe urządzenia techniczne i nowe pomieszczenia.

ROZMAWIAŁ:

JERZY DARNAL

KRONIKA Antytelewizyjna

Z RÓŻNYCH RUBRYK

Uważam, iż na ogół więcej pożytku przynosi obcowanie z ludźmi niejednego kręgu, zawodu, środowiska. Człowiek dowiaduje się czegoś nowego, a poza tym uzyskuje dodatkowy odsyłacz do jakichś swoich spraw i kłopotów, coś uzupełnia, poszerza swoją rzeczywistość. Podobnie jest i z telewizją. Ma się swoje ulubione pozycje programowe, np. teatr, ale nie można na nich poprzestawać.

W ub. tygodniu zrezygnowałem z teatru na rzecz innego rodzaju audycji. Z zainteresowaniem wysłuchałem przede wszystkim rozmowy redaktorów, pisarzy i krytyków — zresztą te funkcje i powołania się łączą — na temat naszych miesięczników. W rozmowie pominięto „Dialog" i najstarszy miesięcznik czyli „Twórczość", pismo najbardziej ustabilizowane. Za „Twórczością" stoi ponad dwadzieścia lat, duży i poważny dorobek, nie bardzo więc rozumiem jak to się dzieje, iż w metryczce pisma stale figuruje ten sam mniej więcej nakład. Chociaż: w numerze z 1946 roku widzę 10.000, od kilku jednak lat stale spotyka się liczbę 5.000 z ogonkiem. W Związku Radzieckim miesięczniki, tołstyje żurnały, cieszą się wielką poczytnością, jest ich poza tym dużo. Wygląda na to, że zaistniała i u nas szansa zmiany sytuacji na lepsze. Dorobiliśmy się wreszcie czterech miesięczników literacko-społecznych, doszła bowiem „Poezja", zaś od września 1966 roku „Miesięcznik literacki". Mamy na uwadze stołeczne, choć we Wrocławiu ukazuje się „Odra", w Poznaniu zaś „Nurt". Kto wie może kiedyś w Łodzi miesięcznikiem stanie się „Osnowa".

8.000 egz. „Poezji" to w naszych warunkach wcale zaskakujący sukces, miesięcznik zresztą dość prędko uzyskał swój profil, co nie jest takie łatwe. Nic więc dziwnego, że inaczej na się rzecz z młodszym „Miesięcznikiem literackim". Muszę się przyznać, że jego pierwszy numer absolutnie mnie rozczarował. Odstąpiłem go jednemu z kolegów za zł 8 gr 50, gdyż uważałem, że tylko za zł 1 gr 50 znalazłem w nim czytania. (Oczywiście, miernik żartobliwy i wielce subiektywny). Pismu towarzyszyła duża reklama, tymczasem w pierwszym numerze znalazłem aż trzy fragmenty powieściowe, nie znalazłem reportażu. Co za sztuka ułożyć numer z fragmentów choćby interesujących jak w tym wypadku! W ogóle z prozą artystyczną (w przeciwieństwie do paru pięknych wierszy o istotnych sprawach) w miesięczniku nadal nie jest dobrze. W najnowszym numerze przeczytałem „Powrót z żołnierki". Dobra proza, ładnie stylizowana, ale w sumie to zwyczajny i jakże tradycyjny obrazek, nawet nie opowiadanie.

Inna rzecz, że nie proza i wiersze są najważniejsze w zamierzeniach tego miesięcznika, który przejął zobowiązujący tytuł po rewolucyjnym w treści i formie piśmie przedwojennym (1929—1931). Dyskutanci, zwłaszcza redaktor Małachowski, zmusili przedstawiciela redakcji, Jerzego Putramenta, do przyznania, że pismu nadal daleko do realizacji ambitnych zapowiedzi.

Co, oprócz poziomu, wyróżnia „Poezję?" Wielu z tym się zgadza, że gościnność, otwarte bramy. Zdawałoby się, że w czasie, gdy nie ma wyraźnych grup artystycznych, cecha ta powinna być właściwa wszystkim pismom, tygodnikom i miesięcznikom. Niestety, wiemy, że jest inaczej. Zamiast grup artystycznych mamy grupy towarzyskie. Czasem nawet towarzystwa wzajemnej adoracji. Albo przejawy takich towarzystw, m. in. i stąd też płynie zubożenie treści wielu periodyków.

Miejmy nadzieję, że wraz z rozwojem miesięczników rozwinie się i nawyk do nich, nawyk do obcowania ze sprawami i zagadnieniami, podanymi w sposób pogłębiony, nie felietonowy, jednocześnie zaś czytelny, bo z tą czytelnością w naszych periodykach nie jest najlepiej.

Zupełnie inne zagadnienie wynikło z kolejnej audycji żywo prowadzonego cyklu „Sprawy do załatwienia". Tropiciele, jakby współcześni detektywi, to ludzie kontrolujący produkcję licznych zakładów, współpracujących ze starachowicką fabryką samochodów ciężarowych „Star". Ów „Star" kooperuje aż ze 144 zakładami. Zawrotu głowy można dostać. Od jakości produkcji tych zakładów zależy jakość „Starów". Jeżdżą więc przedstawiciele Starachowic po ojczyźnie, interweniują na miejscu, wykłócają się, mówią prawdę w oczy, wykrywają niedociągnięcia w wytwarzaniu detali, walczą o rytmiczność w ich dostarczaniu. Metodę tę nazwano w audycji „nonsensem gospodarczym". Zapewne słusznie. Ale należy mieć na uwadze jej dodatnie skutki, właśnie poprawiająca się jakość samochodów, zmniejszająca się ilość reklamacji. Jeśli nie można inaczej, to czemu nie uciec się do takiej metody, **która skądinąd oby jak najprędzej stała się wspomnieniem,** przejściowym etapem, powszechną zaś rzeczywistością — dokładność w realizowaniu dokumentacji technicznej, zgodność wymogów z przedmiotami, terminowość i rzetelność jako nawyk i kanon. Bo nie da się mówić o postępie technicznym, jeśli myśl i dokumentacja, a także harmonogram, nie będą się zgadzały z ich materialną realizacją...

Niestety, i ja dałem się skusić, oglądałem ostatnią „Kobrę" pt. „Tabakierka cesarza".

Można ułożyć wielką antologię ze znakomitych wierszy o Warszawie. Stąd kłopoty, kłopoty wynikające z bogactwa, gdy się chce opracować audycję poetycką. Wydaje mi się, że ostatnia, związana z rocznicą wyzwolenia, nie była najszczęśliwsza. Prawdopodobnie należało zacząć od ustalenia zasady: wiersze martyrologiczne?" liryczne apostrofy? wiersze satyryczne jak Jerzego **Liberta? nowa Warszawa czy** dawna Warszawa?

Jeśli chodzi o Warszawę okupacyjną, nie znam bardziej wstrząsającego i przejmującego utworu niż „Sen nocy zimowej" Mieczysława Jastruna.

Niezbyt fortunnie dobrane utwory recytowali: H. Boukołowski, M. Gruszczyński, St. Zaczyk, Z. Zapasiewicz, G. Tukiewicz.

Jan Huszczyk

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Danielle Darrieux i Fernandel

FERNANDEL O KOMIZMIE

■ W wywiadzie noworocznym, przeprowadzonym przez „Le Figaro" Fernandel wypowiedział się o komizmie. „Według mego zdania — powiedział Fernandel — komizm jest stale ten sam. Być może dziś jest on nieco dyskretniejszy. Dzisiejsza młodzież oczywiście lubi się śmiać tak jak i my, ale zbyt mało daje się jej po temu okazji. Być może filmy sprzed 1939 roku (Fernandel ma na myśli filmy komiczne) nie miałyby tego powodzenia co wtedy, a jednak... kiedy jeden z nich został nadany w telewizji, widzowie stwierdzili, że jest zabawny".

Fernandel stwierdza dalej, że młodzi wolą filmy z żywą akcją, „westerny", filmy szpiegowskie i sensacyjne, ale stwierdza, że komizm na dal przyciąga młodzież. „Wydaje mi się — mówi Fernandel — że producenci boją się nakręcania filmów według komicznych scenariuszy i dlatego młoda publiczność jest zdezorientowana..." Młodzi chcą się szczerze śmiać — mówi Fernandel. Telewizja pozwala publiczności poznawać dawne filmy. Czy ta publiczność jest inna niż dawniej? Fernandel twierdzi, że nie wydaje mu się jakoby widz był inny. Jest tylko bardziej wymagający. „Niewątpliwie — konkluduje Fernandel — od kilku lat gra się bardziej prawdziwie, ale w gruncie rzeczy to nie widzowie się tak zmienili, lecz aktorzy".

FESTIWAL W CANNES

■ Najbliższy Festiwal w Cannes dwudziesty pierwszy, odbędzie się w dniach od 27 kwietnia do 12 maja. Jak zwykle zostaną przyznane cztery główne nagrody i szereg mniejszych. Nowością na Festiwalu będzie to, że dwóch studentów ze znajomością sztuki kinematograficznej wejdzie w skład jury.

JULIETTE GRECO W ZSRR

■ Juliette Gréco, która niedawno wyszła za mąż, wyjechała ze swym małżonkiem Michelem Piccoli do Związku Radzieckiego, gdzie odbędzie szereg występów. Słynna Gréco zaśpiewa tam m. in. kilka nowych piosenek a wśród nich utwór Philipe-Gérarda i Jean Dréjaca pt. „Octobre" (Październik) dla uczczenia Rewolucji Październikowej. „Ta piosenka — powiedziała Juliette Gréco — która jest łatwa do nucenia, jest piosenką miłości przeznaczonej dla szczęścia ludzi".

Juliette Gréco i Michel Piccoli

NOWE EKSPONATY W MUZEUM DOSTOJEWSKIEGO

■ Muzeum - mieszkanie Fiodora Michajłowicza Dostojewskiego w Leningradzie wzbogaciło się ostatnio o nowe eksponaty. Jednym z nich jest egzemplarz „Don Kichota" Cervantesa. Książkę tę Dostojewski czytał w trakcie swej pracy nad powieścią „Idiota". Drugim dokumentem jest konspekt wykładu „Szekspir i Dostojewski", wygłoszonego w 1900 roku w Warszawie przez docenta uniwersytetu kijowskiego J. W. Tarle.

Ten drugi dokument osiągnięto dzięki żmudnym poszukiwaniom. Zaczęły się one od przeczytania wycinka z gazety odnalezionego w archiwum muzeum. Wzmianka zredagowana przez współpracownika gazety „Dziennik Polski", datowana 29 listopada 1900 roku, przynosiła wiadomość, że wykład docenta Tarle spotkał się w Polsce z niezwykłym zainteresowaniem. Teza wykładu było, że szekspirowskie tradycje zrealizował w pełni jedynie Dostojewski. Była to tylko informacja o wykładzie, gdzie zaś znajduje się tekst tego wykładu? Muzeum Dostojewskiego posiada duży zbiór materiałów, które gromadziła jeszcze żona pisarza. Ale jak się później okazało, nie wszystkie dokumenty ze zbiorów Dostojewskiej znalazły się w muzeum pisarza. Dopiero niedawno w bibliotece historycznej odnaleziono wiele cennych dokumentów. Zostały one bowiem przekazane tam razem z książkami z biblioteki Dostojewskiego. I oto wśród tych dokumentów odnaleziono list samego Tarle. Uczony powiadamia Dostojewską o swoim wykładzie. Pisze m. in., że wykład „Szekspir i Dostojewski" pomyślany jest jako część ogólniejszej pracy historycznej, ale na razie wykład nie będzie publikowany. „Uważam — pisze w liście Tarle — że brulionów mojej pracy nie należy drukować". Wśród książek z biblioteki pisarza odnaleziono jeszcze konspekt wykładu przysłany przez docenta Tarle z Warszawy, ale samego tekstu wykładu do dziś nie udało się odnaleźć!

ALFONS DAUDET I REKLAMA

■ Norbertanie w jednym ze swych klasztorów produkowali likier zwany „Norbertanka". Sprzedaż tego trunku stanowiła główną podstawę utrzymania braciszków zakonnych. Ale „Norbertanka" nie cieszyła się zbytnim powodzeniem i mnisi mieli kłopoty finansowe. Po namyśle postanowiono zwrócić się z prośbą do popularnego pisarza Alfonsa Daudeta, aby zareklamował trunek. Pisarz zgodził się chętnie. I oto w książce „Listy z mojego młyna" znalazło się opowiadanie pt. „L'Elixir du Révérend Père Gaucher", w którym Daudet opisał kłopoty zakonnych braciszków i produkowanie przez nich wyśmienitego trunku. Traktując jednak temat żartobliwie, autor podkpiwał sobie dobrodusznie ze zmartwienia norbertanów i opisał w zabawny sposób całą historyjkę produkowania likieru.

Czytelnicy chętnie przyjęli opowiadanie Daudeta, ale o kupnie „Norbertanki" zapominali, zaś zakonnicy poczuli się urażeni zabawnym potraktowaniem ich kłopotów. Jak się więc okazuje, pisarze nie zawsze są specami od reklamy.

SHERLOCK HOLMES WCIĄŻ MA POWODZENIE

■ Nowy angielski film pt. „Sherlock Holmes przeciwko Kubie Rozpruwaczowi" jest już stu dwudziestym dziewiątym filmem długometrażowym nakręconym na podstawie dzieł Conan Doyle'a. O niesłabnącej popularności tego pisarza świadczy ponadto fakt, że np. we Francji co roku sprzedaje się 60.000 egzemplarzy jego książek.

„Garść popiołu" — M. Piechala we Wrocławiu

Współpraca kulturalna między środowiskami Łodzi i Wrocławia — o której ODGŁOSY wspominały już niejednokrotnie — przybiera coraz ciekawsze formy. Potwierdzeniem tego stała się wrocławska inscenizacja poematu „Garść popiołu" pióra łódzkiego poety, Mariana Piechala. Utwór ten, charakteryzujący się atmosferą drugiej części mickiewiczowskich „Dziadów", wystawiony został o północy z pierwszego na drugi listopada w podziemiach Starego Ratusza (znanych we Wrocławiu pod nazwą „Piwnicy Świdnickiej") przy blasku świec i w dekoracji z wieńców. Każdy z zaproszonych gości otrzymał ponadto lampkę grzanego wina z korzeniami.

Czas, miejsce i sceneria widowiska stworzyły wspaniały klimat do wydobycia całego uroku Piechalowskiego poematu, za co szczególne słowa uznania należą się aktorowi Teatru Polskiego, Zenonowi Koszarkowi, który przedstawienie reżyserował oraz kompozytorowi Adamowi Kasprzykowi, który zadbał o jego stronę muzyczną. Imprezie patronował Zarząd Wojewódzki ZMS, wykonawcami byli młodzi aktorzy Teatru „Sylaba" z Wojewódzkiego Domu Kultury. Wobec olbrzymiego zainteresowania widowiskiem, wydaje się, że będzie ono powtarzane na terenie Dolnego Śląska.

HENRYK JAGODZIŃSKI

KSIĄŻKA, FILM, PRZEDSTAWIENIE TEATRALNE

Redakcja „Odgłosów" zwróciła się do szeregu osób z prośbą o odpowiedź na pytanie, która książka, film i przedstawienie teatralne roku 1966 utrwaliły się najbardziej w ich pamięci. Przyjęliśmy zasadę, aby o poszczególnych sztukach wypowiadali się fachowcy z innych dziedzin, co — naszym zdaniem — winno zapewnić ankiecie urok świeżości. Czy zamiar nasz się udał — osądźcie sami. A oto uzyskane przez nas wypowiedzi.

O filmie

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, PISARZ:

Nie będę ukrywał, że dużym przeżyciem filmowym był dla mnie w minionym roku „Faraon". W przypadku, gdy jakieś dzieło literackie przenosi się na ekran, odczuwamy zwykle coś w rodzaju zawodu. Tutaj zawodu tego nie doznałem. „Faraon" należy do filmów-gigantów, ale nie ma w nim nic ze szmiry. I jeszcze jedno: Egipt, zaprezentowany w tym filmie, to nie Egipt na pokaz, powiedziałbym, że jest to Egipt zamierający. I to mnie bardzo wzruszyło.

EDWARD GŁĄB, TECHNIK-LABORANT:

Nie znam się na sztuce filmowej, ale chętnie chodzę do kina. Bardzo mi się podobał film „Marysieńka i Napoleon" z Holoubkiem w roli głównej. Naturalnie Holoubek to nie Jaracz, ale w tym filmie i w tej roli wypadł on bardzo dobrze. Jestem zadowolony, że mogłem ten film obejrzeć.

ZENOBIA MOLENDA, LEKARZ:

Bardzo lubię kino i każdą okazję wykorzystuję, aby obejrzeć jakiś film. Co mi się z polskich filmów ubiegłorocznych najbardziej podobało? „Marysieńka i Napoleon". Doskonale wypoczęłam.

JAROSŁAW NIECIECKI, DZIENNIKARZ:

Chociaż „Don Gabriel" nie miał szczęścia do krytyki i był raczej oceniony negatywnie, ja film ten uważam za udany. Inne spojrzenie na wrzesień 1939 roku, pod kątem „szargania świętości", ale to właśnie dobrze. Nie bądźmy tacy święci, nie jesteśmy tacy grzeszni.

O literaturze

BOLESŁAW LEWICKI, DOCENT UŁ:

Moim ulubionym autorem jest Tadeusz Konwicki. Jego też książkę pt. „Ostatni dzień lata" wyróżniłbym z produkcji literackiej roku minionego. Jest to tom, zawierający nowele, które stały się również filmami tego pisarza-reżysera. Drugą pozycją r. 1966 (dla mnie, oczywiście) są „Nowe myśli nieuczesane" Leca, bez których nie mógłbym spędzić tygodnia. (Nawiasem mówiąc Leca znałem jeszcze z lat lwowskich, gdzieśmy się zaprzyjaźnili). Trzecią pozycją, która mi przypadła do gustu, to „Wysoki zamek" Lema, książka niedoceniona, znakomita w koncepcji i konstrukcji. Jeszcze bym wymienił „Kwiat nowy starych romanc" J. M. Rymkiewicza (zawsze lubiłem tego rodzaju poezję, jest w niej coś z wierszy Garcia Lorki) oraz „Dżokera" K. Brandysa. Za znakomite czytadło uważam „Kamienne tablice" W. Żukrowskiego.

KONSTANTY MACKIEWICZ, PLASTYK:

Książek nie czytam, ponieważ nie mam czasu. Zajęty jestem wciąż myśleniem o własnej twórczości a w związku z tym o gwoździach tapicerskich, których nigdzie nie można dostać. Natomiast często słuchamy radia. I otóż pewnego razu słuchałem wierszy Wacława Mrozowskiego. Byłem nimi głęboko wzruszony. Fachową ocenę tej poezji pozostawiam innym.

JULIAN TUWIM, PEDAGOG:

Najbardziej podobała mi się niewielka książeczka Antoniego Słonimskiego „Jawa i mrzonka". Śmiała, dowcipnie napisana (jakżeby inaczej u Słonimskiego), autor nie podporządkowuje się w niej żadnym schematom. Głęboki, mądry stosunek do rzeczywistości. Gorąco polecam.

HENRYK ANDERS, HISTORYK SZTUKI:

Zawładnęła mną całkowicie książka Potockiego „Rękopis znaleziony w Saragossie". Ukazała się wprawdzie wcześniej, ale przeczytałem ją dopiero w roku ubiegłym i w spisie moich lektur 1966 jest książką najważniejszą. Pewne staroświeckie ujęcie, które tę książkę cechuje, stanowi zarazem jej nieprzeparty urok.

HENRYK ROGALSKI, EMERYT:

Mam dużo czasu, to dużo czytam. Lubię książki, których akcja dzieje się w Łodzi. Bardzo mnie zajęła powieść Zbigniewa Nienackiego „Sumienie". Ciekawe, dobrze się czyta. Teraz wziąłem sobie do czytania nową powieść Władysława Rymkiewicza „Widok z Księżego Młyna". Jeszcze jej nie zacząłem, ale słyszałem, że podobno interesująca. Zobaczymy.

O teatrze

JAN GIERAŃCZYK, KSIĘGARZ:

Ze sztuk, które widziałem w łódzkich teatrach w 1966 roku, na pierwszym miejscu stawiam „Nasze miasto" Wildera, wystawione w Teatrze Powszechnym. Na drugim miejscu — sztukę „Kto się boi Wirginii Woolf?" Edwarda Albee w Teatrze im. Jaracza. Jest to sztuka na swój sposób okrutna, ale robi wrażenie. Dalej „Sen srebrny Salomei" Słowackiego w Teatrze Nowym i wreszcie „Taka noc nie powtórzy się więcej" w Teatrze 7.15. Ta ostatnia przypomina stare ulubione melodie i z przyjemnością się rzecz tę ogląda, a piosenek słucha.

ANDRZEJ SZYMKIEWICZ, ADWOKAT:

Oczywiście „Tango" Mrożka w Teatrze Powszechnym. To była prawdziwa rewelacja. Otóż ja tę sztukę widziałem także wystawioną w Warszawie u Axera i wie pan, że przedstawienie łódzkie wcale nie jest gorsze. Małomiejscami jest nawet lepsze. Na przykład: Krystyna Feldman jako Babcia jest lepsza od Ludwiżanki, która tę samą rolę kreuje w teatrze warszawskim. A i Janusz Kubicki wcale nie jest gorszy od Mieczysława Czechowicza.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ, PISARZ:

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że najlepszym przedstawieniem roku ubiegłego był „Sen srebrny Salomei" Słowackiego w Teatrze Nowym, który zresztą ciągle jeszcze jest grany. Dlaczego? Ten trudny dramat poetycki, napisany w okresie romantyzmu, reżyser Tadeusz Minc tak wystawił, że jest nie tylko zrozumiały dla dzisiejszego widza, ale miejscami także porywający. Również aktorzy grają w tej sztuce bardzo dobrze, a i dekoracje bardzo się udały. Słowem: pełny sukces Teatru Nowego.

MARIA KOZIOŁEK, URZĘDNICZKA:

Do teatru nie chodzę, bo mieszkam daleko od śródmieścia, a na peryferiach, jak wiadomo, teatrów nie ma. W Łodzi wszystko jest w centrum i to powoduje, że bardzo wiele osób nie może korzystać z takich rozrywek jak teatr. Oto jest moja odpowiedź.

WYPOWIEDZI SPISAŁ J. K.

KONRAD FREJDLICH

STATECZNY OPRAWCA

Fot. W. Małek

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII

Pamiętamy ten dzień przede wszystkim jako moment powszechnej radości. Ale 19 stycznia 1945 r. był także dniem najgłębszej w dziejach tego miasta żałoby. Wkrótce po ucieczce hitlerowców wyszła na jaw zbrodnia, jakiej Łódź nie znała w swojej historii. Zbrodnia w murach fabryki Abbego, którą brunatni przemianowali na: „Erweitertes Polizeigefängnis Radegast".

Mieszkający w sąsiedztwie więzienia Józef Zieleniewski, był pierwszym człowiekiem, który na własne oczy zobaczył to co przeszło do historii jako zbrodnia w Radogoszczu. Kiedy wyłamał w murze więziennym furtę starannie zamkniętą przez umykających Niemców, ujrzał na podwórzu stosy zmasakrowanych trupów i tlące się jeszcze ciała. Jeden z więźniów żył. Nie rozumiał widocznie, że oprawców już nie ma: rzucił się na kolana i prosił o darowanie mu życia.

W tym czasie kolumna niemieckich samochodów, która niemal w ostatniej chwili, o godzinie ósmej rano wyruszyła spod bramy spalonego więzienia, pomykała frontowymi drogami na zachód. W jednej z maszyn znajdował się główny reżyser radogoskiej zbrodni, porucznik policji Walter Pelzhausen.

„Urodziłem się — napisze o sobie w Lebenslaufie sporządzonym na żądanie okupacyjnych władz alianckich w Niemczech, które wiosną 1947 roku przekazały go do dyspozycji polskiego sądu — dn. 21. X. 1891 roku w Arnstadt (Turyngia), jako czwarte dziecko małżonków Ernesta Pelzhausena i Emilii z Geyerów. Od 6 do 14 roku życia uczęszczałem do szkoły ludowej we Frankfurcie i ukończyłem ją w tym czasie. Od kwietnia 1906 do września 1908 wyuczyłem się w firmie Ludwik Stern i Spółka we Frankfurcie Bernheimer — Landstrasse 56 szlifowania dia mentów. Na skutek kryzysu, firma i warsztaty zostały zamknięte, a pracownicy zwolnieni".

Jak wynika dalej z tego życiorysu, po bankructwie pracodawcy młody szlifierz diamentów wstąpił do marynarki, gdzie przesłużył 10 lat, przez następnych 15, zaś był policjantem. Po przewrocie hitlerowskim nie zrzucił swego munduru: wstąpił do NSDAP. Wyjaśnia jednak: „Jakkolwiek jestem od 1933 roku członkiem partii, byłem zawsze obserwowany, jako obciążony politycznie".

W podaniu o łaskę Pelzhausen posunie się jeszcze dalej w swym cynizmie: „Jestem tak samo ofiarą ustroju byłych władz hitlerowskich". Zaprzeczy sobie jednak: „Od 40 lat jestem oficerem mundurowym policji i do ostatniej chwili nie splamiłem swego munduru, będąc mu wiernym w wykonywaniu wszystkich rozkazów władz przełożonych".

Generał policji niemieckiej, Walter Kueck, powołany na świadka obrony, zezna: „Na oskarżonego do mnie skargi nie dochodziły, ja go uważałem za s t a t e c z n e g o urzędnika, który ma "doświadczenie".

Tym statecznym urzędnikiem jest człowiek, któremu udowodniono własnoręczne zamordowanie 32 ludzi. A także dokonywanie systematycznej eksterminacji Polaków, podżeganie do zabójstw i przyjmowanie w nich udziału, wysyłkę więźniów na egzekucję i udział w egzekucjach. Wreszcie spalenie około 1500 osób bezpośrednio po ich rozstrzelaniu, oddanie na pastwę ognia żywych jeszcze ofiar i bestialskie mordowanie ratujących się przed płomieniami.

To tylko niektóre, najbardziej drastyczne fakty, które udźwignęła biografia 56-letniego Waltera Pelzhausena, statecznego urzędnika policji niemieckiej w Łodzi.

Proces „potwora z Radogoszcza", jak ochrzciły Pelzhausena gazety z tamtych dni rozpoczął się 8 września 1947 r. „Dziennik Łódzki" pisał: „Pelzhausen to tęgi mężczyzna o zbyt wielkiej, łysiejącej czaszce. Blady. Dwoje głęboko osadzonych oczu spod ciemnych krzaczastych brwi ponuro spoziera dookoła". „Kurier Popularny" posłużył się następującą metaforą: „Ze wnętrznie przypomina on postać potwora ze słynnego filmu „Doktor Frankenstein". Kiedy się słyszy akt oskarżenia i jego uzasadnienie okazuje się, że cechy jego wyglądu pokrywają się w pełni z cechami jego czynów".

Ale ledwie przebrzmiały słowa odczytanego przez ławnika Andrzejczaka aktu oskarżenia, Pelzhausen udowodnił, że oczekując w celi nr 16 więzienia przy ul Kraszewskiego długie miesiące na osądzenie zachował dobrą kondycję. Był butny, choć zza buty tej przezierał z trudem ukrywany strach płatnego mordercy. Przede wszystkim nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Już przy aresztowaniu przez Amerykanów próbował stworzyć sobie alibi.

Przed sądem w Łodzi Pelzhausen też będzie się wystrzegał wymówienia choćby daty 19 stycznia 1945 r. Skoryguje jednak nieco nazbyt wyraźnie liony Lebenslauf: „W dniu 15 stycznia 1945 roku zostałem odkomenderowany z więzienia, tego dnia wyszedłem i dotąd byłem w ciągłym marszu, choć jeszcze w Łodzi".

Rzecz charakterystyczna. Pelzhausen, który po czterdziestu latach pamięta dokładny adres swego pierwszego pracodawcy, zupełnie nie może sobie przypomnieć zdarzeń o wiele świeższych i o wiele ważniejszych. Najpierw próbuje wzruszyć. Wbrew temu, co w prośbie o łaskę dla męża napisała Frau Pelzhausen („nasze małżeństwo było bezdzietne") wymyśla na użytek sądu jedynego syna, który poległ na wojnie. Następnie (rzecz to raczej nie spotykana w procesach hitlerowców, jakie mają miejsce w ostatnich czasach) „przyznaje szczegóły" aktu oskarżenia jak to odnotowuje protokół — „częściowe pobicie oraz zastrzelenie 2 jeńców za odór". Miał to uczynić w obronie własnej. Z innymi zarzutami aktu oskarżenia albo nie zgadza się, albo też stwierdza, że dopiero teraz dowiedział się o tych faktach. Kategorycznie też wypiera się spalenia Radogoszcza.

Ale w aktach znajduje się niezbity dowód: mała kartka papieru z nadrukiem „Bescheinigung" i jego własnym, Pelzhausena, podpisem. Zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia Tadeusza Pachnowskiego wystawione 17 stycznia 1945 r. Pelzhausen jest wyraźnie zmieszany. Wreszcie stwierdza, że musiał ten papier podpisać in blanco. Po chwili, skojarzywszy sobie widocznie, że twierdzenie to przeczy jego długim wywodom o nieufności, jaką darzyć miał podległy personel więzienny, Pelzhausen zarzuca oskarżycielowi fałszerstwo dokumentu.

Atmosfera na sali sądowej staje się prawie nieznośna. Wielokrotny morderca zapomina o roli, której uczył się do procesu: żebrząc o życie przyjmuje na siebie postać odrażającego błazna. Zaczyna uprawdopodabniać twierdzenie, że był przez swą zwierzchność uważany za „niepewnego politycznie". Zdobywa się więc na dosyć oszczędne w formie, ale jednak, potępienie nazizmu: „System wobec ludności polskiej od 1939 r. był niewłaściwy". Narodowy socjalizm określił jako „pozorowanie rzeczy nieistotnych". Chwilami Pelzhausen plącze się tak absurdalnie, że wywołuje śmiech na sali. Ale tylko na moment. Jest tak odrażający, że nie może być równocześnie śmieszny.

Z zeznań świadków rysuje się prawdziwy Lebenslauf Waltera Pelzhausena nominowanego od 1. VII. 1940 roku na komendanta więzienia w Radogoszczu — oprawcy z knutem w jednej ręce, a rewolwerem w drugiej.

Bolesław Kowalczyk przypomniał wydany przez Pelzhausena rozkaz zabicia 4 więźniów. Opisał też dokonane własnoręcznie przez komendanta morderstwo 9 ludzi za kradzież, przez jednego z nich bochenka chleba z kuchni. Pelzhausen strzelał jednocześnie z dwóch pistoletów, które repetował mu przywołany w tym celu wachman. Zabił też dwu gruźlików w momencie, gdy schodzili do karetki która miała ich zawieźć do szpitala. Motywem tego kolejnego morderstwa była chęć zaoszczędzenia na budżecie więziennym, z którego musiałby łożyć na leczenie pacjentów.

Jest niemożliwością w tak krótkim reportażu powoływać nazwiska wszystkich świadków (wystąpiło ich przed sądem blisko 100) jak też jest niemożliwością opisać choćby pobieżnie wszystkie zbrodnie popełnione przez Pelzhausena. Ze względu na podanie Frau Pelzhausen, które jeszcze zacytujemy, przypomnijmy tylko, że komendant Radogoszcza zastrzelił jednego z więźniów za to, że źle uszył jego żonie pantofle, zaś dwu innych za to, że źle skroili dla komendantowej cholewki. Zabił też dwu niewidomych, gdyż drażniło go, że zbyt wolno wybiegali na apele. Poza tym zabił kilka jeszcze osób, już bez żadnej, choćby nawet tak dziwnej, jak przytoczone tu przed chwilą, podstawy. Wziął też udział w charakterze oficera asystującego w egzekucji w Zgierzu, gdzie rozstrzelano 100 Polaków.

Jakże niesamowicie brzmi w zestawieniu z tymi faktami oświadczenie zamieszkałej w Niederselters, Parkstrasse 11, Frau Pelzhausen: „Pamiętam, że mąż głęboko współczuwał z niewinnymi ofiarami nazizmu". I w innym miejscu: „Mąż, zawsze nadzwyczaj taktowny i delikatny nie zdradzał nigdy skłonności zbrodniczych".

I to wszystko stwierdza się o człowieku, który wynalazł „maneże" polegające na biciu, aż do wyzionięcia ducha, biegających w kółko po podwórzu więziennym, albo przeczołgujących się pod pryczami ofiar. O człowieku, który rozkazywał smagać biczami ludzi, których głowy zanurzano w beczkach z wodą, aby nie mogli wydać z siebie krzyku. O człowieku, który sprowadzał sobie do więzienia pijane prostytutki i popisywał się przed nimi strzelaniem do żywych, całkowicie bezbronnych ludzi.

Józef Miętkiewicz zeznał: „Pracowałem podczas okupacji w zakładzie pogrzebowym „Krieger". Co dzień lub co drugi jeździłem do obozu w Radogoszczu po zwłoki. Wywoziłem 3—4 zwłoki, raz pamiętam wywiozłem 12 zwłok w jeden dzień. Zwłoki przeważnie były bardzo pobite i przestrzelone".

Ale fakty najstraszniejsze przypomniano dopiero w ostatnich dniach procesu. Pelzhausen już nie przerywał świadkom, buta i błazenada ustąpiły miejsca zwierzęcemu strachowi. Bał się. „Kurier Popularny" doniósł w ogromnym tytule z trzeciego dnia procesu: „On był właśnie podpalaczem — stwierdzają ocalenii z pożaru Radogoszcza".

Nie dysponujemy pełną liczbą ocalonych. Prokurator przesłuchał pozostałe przy życiu po spaleniu Radogoszcza następujące osoby: Feliksa Błotnickiego, Franciszka Brzozowskiego, Stanisława Jabłońskiego, Bolesława Popławskiego, Adama Sowiaka, Antoniego Szmaję, Józefa Zielińskiego, Zdzisława Skowrońskiego Adama Urszulaka, Tadeusza Dyłę i Rafała Żarneckiego. Nie zdążył złożyć zeznań Leonard Jędrasiak, który wskutek przejść w Radogoszczu zmarł w rok po wyzwoleniu.

To się zaczęło w środę, 17 stycznia 1945 r. Więzienie zapełniło się — przywieziono nowe transporty ze Skierniewic i Grójca. Po północy wachmani z Pelzhausenem na czele oraz sprowadzeni do tej akcji esesmani wymordowali więźniów na parterze.

Potem przyszła kolej na III piętro. Ustawionym w piątki więźniom polecono zbiegać po schodach. Strzelano do nich z dołu i z góry. Jeden z więźniów ocalał, gdyż akurat skończyła się w kaemie taśma.

Na II piętrze polecono więźniom stanąć na pryczach, mordercy chcieli mieć dobrą widoczność. Ale prycze załamały się pod ciężarem tylu ludzi. Kazano więc więźniom stanąć między pryczami. Część z nich popędzono na schody, gdzie dostali się pod ogień broni maszynowej.

Więźniowie z I piętra wykorzystując moment, że strzelanina przeniosła się wyżej skakali przez okno na dziedziniec. Tam również spotkała ich śmierć.

W czwartek rano oprawcy podpalili więzienie. Ogień rozszerzał się szybko. Ucieczki nie było — mordercy czekali na swoje ofiary.

Więźniowie wykuwali otwory w murach, sufitach, wyskakiwali na dziedziniec, albo wychodzili na dach. Czekali, aż dym zasłoni widoczność strzelającym Niemcom i kryli się w jakichś dziurach gdzie ich najczęściej i tak dosięgła kula, albo płomienie.

Frau Pelzhausen napisała: „Nie pogodzę się, jako żona podsądnego z tym, aby jego imię było zaplamione hańbą i postąpiono z nim jak z wyrzutkiem społeczeństwa, kiedy całe życie jego poświęcone było tylko służbie i obowiązkom rodzinnym".

Herr Pelzhausen nie czytał tego listu. Prosił tylko o łaskawy wyrok.

1 marca 1948 roku Walter Pelzhausen zawisł we Wrocławiu na szubienicy. I jeśli kara, jaką poniósł, jest niewspółmiernie niska, do zbrodni jakich się dopuścił, to obowiązkiem naszym jest przekazywać pamięć o niej następnym pokoleniom, aby nigdy i nigdzie nie mogła się powtórzyć.

Materiały:
Akta procesu Pelzhausena — Gł. Kom. Badania Zbr. Hitlerowskich PR 287
Mgr Maria Nowacka: „Radogoszcz", nakładem „Czytaj" Łódź 1949
„Kurier Popularny" 1947, „Dziennik Łódzki" 1947.

JERZY WILMAŃSKI

TRUDNY JĘZYK

Język polski jest diabelnie trudny. Jeszcze przed laty znakomity aktor Fryderyk Jarosy — Węgier z urodzenia, a Polak z zamiłowania użalał się: „Bo weźmy na przykład słowo „jeść". Jak się to odmienia? „Ja jem" pochodzi od „jajo", „ty jesz" od „tyć", „my jemy" od „myć", „wy jecie" od „wyć", „oni ją" — i tu już nic nie rozumiem... jacy oni? jaką ją?...".

Podobne kłopoty mają dziś czarni studenci z Ghany czy Ugandy, gdy w łódzkim studium dla obcokrajowców odmieniają „ja noszę kalosze", „ty nosisz kalosisz", „my nosimy kalosimy", „wy nosicie kalosicie"...

Ale zostawmy obcokrajowców. Sami mamy z tym dziwnym językiem dość zmartwień. Już Julian Tuwim miewał kłopoty ze ślusarzem, który autorytatywnie orzekał, że „z powodu

kajli na iberlaufie trychter robiony był na szoner a nie krajcowany i bez holajzy w żaden sposób nie można zakryptować lochbajtel w celu udychtowania pufra i dania mu szprajcy przez lochowanie sztendra by roztrajbować ferszlus, który dlatego źle działa bo drcselklapę tandetnie zablindowano i teraz rykształosuje".

Wszystko niby jasno i po polsku a jednak zrozumieć trudno, że to przeciekał kran.

Dziś jest oczywiście nieco inaczej. Z językiem i ze ślusarzem. Przyjdzie taki ponury i raczej małomówny, w monologi fachowe nie wdając się, mruknie tylko

— brudas poleci

Łazienka nieczynna tydzień, więc mnie ta bezpośrednia forma nie dotknęła prawie wcale. Nie zdziwiło mnie też, że zwraca się w trzeciej osobie — kto wie może chodzi do szkoły i teraz to biorą — poleciałem więc do „Słonia" po pół litra. Skąd mogłem wiedzieć, że brudas to 500 zł a „poiecieć" to znaczy, że tyle będzie trzeba zapłacić.

W „Słoniu" znów nieporozumienie. Pytam o „wyborową".

— Jest — mówi bufetowa — zabonować?

— Skądże znowu — wzbraniam się — czasem, nie powiem, wypiję, ale żeby zaraz abonament?

Ledwo mi się ją udało przekonać, że jestem trzeźwy tylko dotychczas znałem czasownik „zaabonować" (od „abonament"), nie znałem natomiast czasownika „zabonować" (od „bon").

To kłopoty w tzw. życiu codziennym. A w literaturze? Przeczytałem kiedyś wiersz opublikowany przez poważne wydawnictwo.

Pan Władysław rozbany się
jego syn Sabin
w pierzynie róż dziennie wtem
w jeden w pierz róż dzień
ktoś puk: wmiot się
jednej róży lic.

Poważny krytyk w poważnej książce komentuje ten wiersz. Komentuje — oczywiście — poważnie. „Pan Władysław hula. Jego syn Sabin wyleguje się codziennie w różowej pierzynie. Wtem gdy on leży ktoś puka i wchodzi osoba o narożowionej twarzy".

Przed wojną grana była w Warszawie sztuka pt. „Kartka papieru". Antoni Słonimski napisał z niej recenzję używając tylko jednego słowa — „rolka".

Ów wiersz chciałoby się też zrecenzować jednym słowem. Znanym. Zrozumiałym. Jasnym. Niestety — niecenzuralnym.

Dziwny ten nasz język Jak się w nim już znajdzie słowo proste, słuszne, komunikatywne i jednoznaczne — to jest ono jak na złość niecenzuralne.

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 27. I. 1967 r. O-